

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

# WIES

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

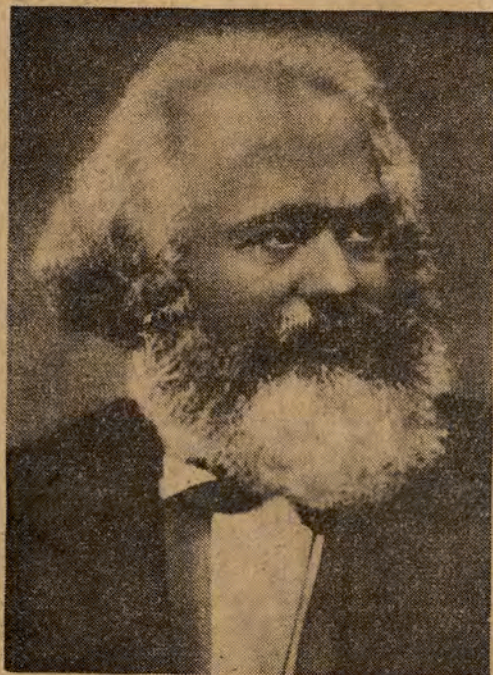
Łódź, 1 maja 1949 r.

Nr 18 (197)

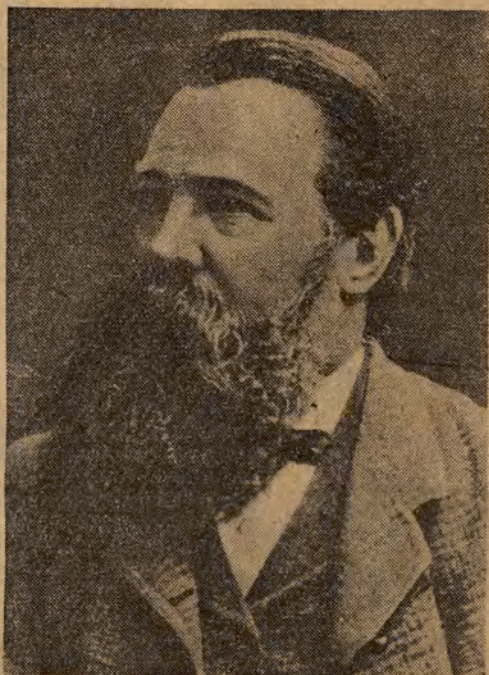
## W NUMERZE

między innymi:

- T. Orlewicz — Do mobilizacji sił pokoju.  
M. Żmigrodzka — Kultura dla jutra.  
L. Łakomy — Imiona wołające o pokój.  
1 Maj (1892—1905) — 1 Maj (1918—1939).  
P. Korzec — Łódź przed 1905 r.  
Cz. Zieliński — Moja droga.  
B. Brecht, J. Cotter, J. Miller, T. Różewicz, W. Wiersza, Z. Stolarek — wiersze.  
Wł. Kowalski — „Wino” (frag. powieści).  
J. Kuczyński — Dwie nauki — dwa światy.  
K. Kewes — Wojna w Indochinach.  
J. Witowska, M. Kościńska, J. Pogan — wypowiedzi.  
St. Pięta — Pierwsza orka.  
M. Niewiarowski — Zaczarowana tokarnia.  
W. Jermilow — Radzieckie powieści o wsi.  
K. M. Nedelković, W. Jedlicki — recenzje.



Karol Marks



Fryderyk Engels



Włodzimierz Lenin



Józef Stalin

Olbrzymek

## NAD „KAPITAŁEM”

**D**ziesiąty pawilon był oto zony leżącej w tajemniczości w masach robotniczych, na tych jednak, którzy w nim siedzieli nie robił specjalnego wrażenia. Nie zrobił go i na mnie, przeciwnie podobał mi się jako więźnienie. Otrzymałem dużą, jasną i czystą celę, w której znajdowało się łóżko z czystą pościelą, stół, stolec, dzbanek z wodą. Było to umebowanie najzupełniej wówczas wystarczające. Trzy razy dziennie otrzymywałem bardzo przyzwoite jedzenie, jakiego nie miałem całymi miesiącami na wolności; w ciągu dwóch lat nielegalnej pracy. Ci towarzysze, którzy miesiącami i latami pracowali w nielegalnych warunkach o głodzie, nie mając pojęcia, gdzie i jak będą nocować, rozumieją napewno, że więźnienie nie tylko nie zrobiło na mnie przygnębiającego wrażenia, lecz przeciwnie — byłem z niego zadowolony, jako z odpoczynku, który mi się słusznie należał i czułem się dobrze. Przede wszystkim miałem własny pokój. Coprawda zamykał się on trochę za mocno, ale nie można przecież za wiele wymagać.

Z początku dużo spałem i zjadałem wszystko, co przynoszono. Spałem jednak po piekarsku, tj. bardzo czujnie; miałem się na baczności, bo przypominałem sobie opowiadanie, że żandarmi podsłuchują w nocy, czy więzień nie mówi przez sen, czasem wprost ze snu biorą na badanie. Czy podsłuchowali — nie wiem, sądząc, że nie, a na badanie nie wołał mnie w nocy ani razu. Na drugi dzień zażądałem książek. Przynieśli mi Balzaka „Trzydziestoletnią kobietę”. Pamiętam doskonale, gdyż była to pierwsza książka tego autora, jaką czytałem. Przeczytałem z przyjemnością, choć nie wszystko zrozumiałem, przeżył i cierpienia bohatera. Następnie przyniesiono mi utwory H. Rzewuskiego. Były to rzeczy cuchnące kadzidłem i gromnicą i najbardziej głupie ze wszystkich, co kiedyś czytałem z polskiej literatury, ale nie mając wyboru, musiałem czytać, co dawali, gdyż wybierać sobie z katalogu nie pozwalano.

Po pewnym czasie otrzymałem pierwszą „wałówkę” — trochę białizny i dwie książki: I tom „Kapitału” Marksa i „Zarys kultury plebejowej” Żybera — obie w języku rosyjskim. Był to trochę za ciężki bagaż na moje słabe siły. Ale sam fakt, że ci towarzysze inteligencji uznali za możliwe przysłać mi „Kapitał” — sprawił mi ogromną przyjemność. Postanowiłem czytać tę książkę powoli i uważnie, nie tak jak się czyta beletrystykę, nie więcej jak dwie ranne godziny. Resztę dnia zaczytywałem się najcenniejszymi utworami literatury europejskiej (tak się zdaje się nazywały) — wydawnictwami Biblioteki Warszawskiej. Były to przekłady Szekspira, Szyllera, Woltera itp. Po badaniu nie myślałem wcale o sprawie i możliwości kary i było mi obojętne, ja-

ki wyrok otrzymam. Wiedziałem bowiem, że w najgorszym razie zostanie zesłany na Syberię, gdzie spotkam twarzyszy i będę mógł się uczyć. Przede wszystkim starałem się uczyć Brzmi to dość poważnie, lecz w rzeczywistości wyglądało to o wiele skromniej — było to tylko uważne i sumienne czytanie. Zabrałem się do Marksa. Żyber nie wiele mi pomógł do zrozumienia „Kapitału”.

Nie czułem nawet tej obawy i nieśmiałości, o jakiej mi opowiadali tow. inteligenci, którzy przecież przed „Kapitałem” czytali coś niecoś z ekonomii politycznej. Byłem pod tym względem w stanie zupełnej „dziewiczości” — nie miałem najmniejszego pojęcia o ekonomii politycznej, nie znałem nawet terminologii. Poza tym miałem pewne trud-

ności z językiem rosyjskim. Znaczenia wielu słów i określeń musiałem się tylko domyślać, gdyż nie było kogo o nie zapytać. Po bardzo powolnym i pracowitym przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów przyszedłem do przekonania, że nic najzupełniej nie rozumiem. Czytałem jednak dalej. Zacząłem się trochę orientować dopiero przy czytaniu dalszych rozdziałów, gdzie jest mowa o kupnie i sprzedaży siły roboczej, bo te sprawy trochę znałem praktycznie. Przypominałem sobie obliczenia zysków mojego majstra, jakie robiłem przed pierwszym strajkiem piekarskim w r. 1897 i łatwo zrozumiałem, że zyskiem jego była nieopłacana wartość naszej pracy. Nie umiem opisać, jak bardzo ucieszyło mnie to proste odkrycie, że i ja naresz-

cie będę mógł coś zrozumieć. Niemniej radość sprawiło mi cytowane przez Marksa sprawozdanie komisji, badającej warunki pracy w piekarniach londyńskich. Setki razy z radością powtarzałem cytowane przez Marksa łacińskie przysłowia: „w tej bajce jest mowa o tobie, zmieniono tylko imię”. Napeniło mnie to radością, że śpiewałem, coprawda tak, jak rosyjscy liberałowie marsylankę, tj. aby nikt nie słyszał. Cieszyłem się jak dziecko, że w niedostępnej zdawało się dla mnie książce znalazłem bardzo wiele rzeczy, które znałem i rozumiałem. Wiedziałem, że była to zaledwie kropla w porównaniu z tym, co trzeba było jeszcze zrozumieć i przetrawić. Chwilami odczuwałem brak kogoś, z kim mógłbym się podzielić radością i myślami. Ale były to tylko chwile. W ogóle nie żałowałem, że jestem i muszę być sam — nie trzeba było bowiem tracić czasu na bezpłodne i zbyteczne rozmowy. Miałem możliwość w zupełnym spokoju myśleć i przetrawiać tę masę wiadomości, jaką czerpałem z czytanych książek. Czasami chodziłem po celi, jak lunatyk albo pijany, niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, gdzie jestem.

W tym czasie dostałem Szekspira i poetów łacińskich. Szczególnie mi się podobał Lukrecjusz i niektórych jego wierszy nauczyłem się nawet na pamięć. Czytając Szekspira, dziwiłem się, że taki medrec zajmuje się tak bagatelnyymi sprawami, jak miłość i samobójstwa szlachty włoskiej lub też jażdżnictwo królów. W „Romeo i Julii” podobał mi się tylko zakonnik, hodujący kwiaty, Hamlet zaś nie podobał mi się wcale. Nie byłem jeszcze wtedy w stanie zrozumieć, że wszyscy ci Hamleci i Kapuleci oraz ich cierpienia potrzebne były Szekspirowi jako narzędzie, przy pomocy którego wypowiadał on swoje głębokie myśli. Pojąłem to dopiero trochę później. Czytałem wyjątki z „Pieśni nad pieśniami”, z „Firduzi” itd.; im więcej tych cudownie pięknych rzeczy czytałem, tym większa ogarniała mnie wściekłość, że są one prawie niedostępne dla robotników. Prawda, znałem robotników, którzy czytali i znał bardzo dużo utworów, o jakich ja nie miałem nawet pojęcia, lecz rezultatem tego „czytania” była nie aktywność rewolucyjna, a niestrawność mózgową, dziecięce poszukiwania jakiegoś boga, prawdy itp. oraz pisanie klepskich i nikomu niepotrzebnych wierszy. Było to oderwanie się od życia. Zamiast walki z podłością — kompres na miejsce, po których biją.

Ja również bałem się „przejedzenia” i „niestrawności”. Bałem się, że nie zdążę przetrawić tego, co czytałem. Lecz w stosunku do tych, co chorowali, miałem to przewagę, że, jak i większość ówczesnych robotników — towarzyszy, dochodziłem, choć powoli, z wielkim trudem, lecz zato samodzielnie do rozumienia przeczytanych książek. Oni zaś (np. Czarniecki szewc i Rychter piekarz) otrzypywali to zrozumienie od swoich nauczycieli, a więc z pewną przyprawą. Ja czułem mocny grunt pod nogami — wiedziałem, dokąd idę, potrzebne mi było tylko ogólne u-

Niemniej w latach 90-tych XIX w. i w pierwszych latach XX w. istniało parę „arystokratycznych” więzień, gdzie przestępcy polityczni korzystali ze względnie go spokoju, dostatecznego pożywienia i nieźle zaopatrzonej biblioteki. Furia samokształcenia była zjawiskiem typowym.

Lektura Olbrzymka w X Pawilonie to „Kapitał” Marksa i klasycy literatury światowej. Trudności, jakie przy tej lekturze pokonywać musiał człowiek inteligentny, lecz zupełnie nieprzygotowany naukowo i literacko, dają miarę upartego wysiłku, wkładanego przez aktyw robotniczy w zdobywanie pozornie niedostępnych twierdz „wyższej kultury”.

Zwraca uwagę stosunek Olbrzymka do klasyków. Przy żywym odczuciu wartości wielkiej literatury zaznacza on silnie dystans wobec utworów, w których ideologiczne ostrze interesów wrogiej klasy nie stępiało dla aktualnej rzeczywistości. Napiecie walki klasowej każe rozprawić się z wrogiem na każdej z jego pozycji, utrudnia ocenę stosunku postępowych i wstecznych elementów w historycznej funkcji dzieła.

Ewangelią rewolucjonisty staje się jednak „Kapitał”. Podziwiać należy żelazną wolę i wytrwałość robotnika, zabierającego się do studiowania tej trudnej książki. Największą pomocą jest tu doświadczenie życiowe, szkoła walki klasowej, która pozwala proletariuszowi odnajdywać w teoretycznym dziele praktykę życia swej klasy: „W tej bajce jest mowa o tobie, zmieniono tylko imię”.

Redakcja



zasadnienie i starałem się je znaleźć w książkach, jakie czytałem.

Czas schodził mi bardzo prędko, choć pojęcia nie miałem, jak długo będę siedzieć. Żandarmi jakby zapomnieli o mnie — pozostawili mnie w spokoju, nie wywoływali mnie na badania, aż do września 1904 r. Tymczasem czulem się bardzo dobrze, czytałem i pochłaniałem książki. Główną masę przeczytanych wówczas książek stanowiła beletrystyka. Co one mi dały? Przede wszystkim pewną znajomość języka polskiego, następnie pojęcie o ideologii polskiego mieszczaństwa, burżuazji, gnijącej szlachty oraz ogólne pojęcie

o literaturze europejskiej, tzw. klasykach. To było dość dużo. Główną jednak rzeczą była ewangelia — „Kapitał”. Czytałem go powoli i aby lepiej zrozumieć i utrwalić sobie w pamięci, całymi stronkami tłumaczyłem na język polski. Jak sobie przypominam, czytanie to trwało kilka miesięcy.

Nauka marksizmu przychodziła mi z trudnością, przede wszystkim dlatego, że zacząłem go studiować bez żadnego przygotowania. Twierdziłem jednak, że zasadnicze podstawy tej nauki przetrwałem i rozumiałem. Rozumiałem po pierwsze, co znaczy „byt określa świadomość człowieka”, gdyż moja świadomość

klasowa, jak i świadomość klasowa setek tysięcy robotników powstała przy nieludzo ciężkiej pracy, pod uderzeniami trzciny lub szprajla<sup>\*)</sup>, podczas nieprzespanych nocy (czego nie byli w stanie zrozumieć dość niegłupi nawet towarzysze, którzy do ruchu przyszedli z zewnątrz). Następnie, że ustroje społeczne nie są wytworem jakiejś dobrej czy złej

\*) Szprajel — z niemieckiego, cienkie polano drzewa długości 1 metra, używane specjalnie do palenia w piekarniach.

woli, bogów czy ludzi, lecz tylko i jedynie wynikiem stosunków wytwórczych danej epoki. Zrozumiałem również, że akuszerka, która ułatwi poród nowego ustroju, to siła, a siła ta będzie i być musi klasa robotnicza. I choć słabo rozumiałem mechanikę ustroju burżuazyjnego u Marksa, miałem jednak wrażenie, że właśnie Marks odkrył „przyczynę przyczyn” tu na ziemi, nad którą tak dużo i tak niepotrzebnie męczyły się uczone kretyny, w bezsilności swej apelujące do nieba, skąd im pokazywano dużą figę...

Olbrzymek

Tadeusz Orlewicz

## Do mobilizacji sił pokoju

**P**onad 600 milionów ludzi na świecie buduje ład socjalistyczny w swoich suwerennych gospodarczo i politycznych krajach. Te miliony, czerpiąc natchnienie z Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz z imponujących doświadczeń państwa radzieckiego, rozbudowują skutecznie bazy produkcji socjalistycznej i gwarantują coraz lepsze bytowanie dla siebie i swoich rodzin.

Związek Radziecki mimo zniszczeń wojennych był pierwszym państwem na świecie, który zniósł zaopatrzenie kartkowe, a w ciągu ostatnich kilkunastu zaledwie miesięcy dwukrotnie dokonano tam obniżek cen na podstawie artykułów powszechnego użytku.

Zarządzenie z grudnia 1947 roku spowodowało dalszy wzrost siły nabywczej rubla oraz wzrost płac realnych, które w roku ubiegłym osiągnęły ponad 200% wskaźnika płac realnych z roku 1947. W konsekwencji ludzie radzieccy w ciągu ubiegłego roku zyskali ogółem 86 miliardów rubli, czyli o tę imponującą sumę podniosły się ich możliwości nabywcze. Ostatnio byliśmy świadkami nowej zniżki cen, wahającej się od 10 do 30% na poszczególnym artykule. Dzięki tej nowej obniżce cen ludzie radzieccy zyskują w ciągu roku dalsze 71 miliardów rubli, bowiem o taką kwotę zmniejszają się ich wydatki na zakup artykułów powszechnego użytku.

Dowodem, jak rośnie dobrobyt materialny w ZSRR są wyniki wykonania planu państwowego. Wyniki te stwierdzają, że ilość sprzedanych ludności artykułów przemysłowych i spożywczych w roku ubiegłym znacznie wzrosła w porównaniu z rokiem 1947. I tak np. spożywcze cukru wzrosło dwukrotnie, ilość sprzedanych tkanin bawełnianych jest wyższa o 56%, a obuwia o 45%. Popyt rośnie szybko i obejmuje swym rosnącym zasięgiem nie tylko żywność, odzież lub obuwie, ale także przedmioty, jak rowery, motocykle, aparaty radiowe, porcelanę, kryształ itp.

To wszystko dzieje się dlatego, że w kraju narodu stu narodów nie ma kapitalistów i obszarników, a więc nie istnieje wyzysk człowieka przez człowieka. Dzieje się to dlatego, że w socjalistycznej gospodarce planowej nie ma nędzy, bezrobocia i obawy ludzi pracy o dzień jutrzejszy. W ustroju socjalistycznym panuje zasada: „od każdego według jego uzdolnień, każdemu według jego pracy”. Zasada ta zapewnia doskonałe zharmonizowanie interesu indywidualnego z interesem społecznym, stwarza zainteresowanie materialne każdego robotnika w wynikach jego pracy, w wynikach produkcyjnych warsztatu, w którym pracuje i w wynikach całej gospodarki narodowej. Dzięki takim założeniom każdorazowo osiągnięcia produkcyjne pomnażają elementy wzrostu dobrobytu rzesz pracujących.

Podobnie rzecz dzieje się w krajach demokracji ludowej, wznoszących zreby ustroju socjalistycznego. I tu dzięki gospodarce planowej i podstawowym reformom gospodarczo-społecznym lud pracujący pod przewodem klasy robotniczej wymaga produkcji poprzez współzawodnictwo i świadomy entuzjazm walki o wielką sprawę, a wzmagając produkcję uwielokrotnia strumień towarowy, a z tym zwiększa możliwości nabywcze świata pracy. Walce o produkcję, dobrobyt i socjalizm towarzyszy nieustanna walka o likwidację resztek kapitalizmu i w mieście i na wsi.

W Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej od Bałkanów po koło arktyczne, od strefy radzieckiej Niemiec po Alaskę i Jang-Tse-Kiang, budują ludzie pracy dla siebie wielkie wysiłkiem nowy dostatek gmach szczęśliwego jutra, służąc przykładem dla milionów ludzi, gniebionych przez wyzysk kapitalistyczny. Te milionowe rzesze ludzkie, robotnicze i chłopskie, stanowią zasadniczy obóz światowego pokoju i postępu, walcząc z rodzimym kapitalizmem i imperializmem. Klasy robotnicze zrywają wciąż wędzidła niemości produkcyjnej państw kapitalistycznych. Wędzidło katastrofalne dla gospodarki tych krajów i dla ludzi pracy. Hegemon imperializmu, Stany Zjednoczone, posługując się planem Marshalla, sprawiają, iż na zachodzie Europy pogłębia się zubożenie rzesz pracujących, rośnie w przerażających rozmiarach bezrobocie i to zarówno całkowite jak i częściowe, wzrastają ceny na artykuły masowego zapotrzebowania, a więc spada realna płaca robotników i pracowników umysłowych.

We Włoszech już w grudniu ub. roku było 2.161.271 zarejestrowanych bezrobotnych, a w końcu marca br. ponura ta liczba podniosła się znowu o dalsze 300.000. Wielka Brytania miała 359.000 bezrobotnych, a więc o 20% więcej niż w roku 1947. Mała Belgia liczyła 252.751 bezrobotnych, co stanowi przeszło 13% wszystkich ubezpieczonych pracowników belgijskich. Francja, królik eksperymentalny współczesnej agresji imperializmu północno-amerykańskiego, podwoiła w ciągu roku oficjalną liczbę bezrobotnych. „Bizonia”

liczyła 750.000 bezrobotnych, a ostatnio przekroczyła 1 milion. Te wszystkie cyfry, przeobrażające w swej wymowie, są podane w wielokapitałistycznym piśmie angielskim „Daily Mail” i napewno uległy przed ogłoszeniem zmniejszającemu retuszowi, bo mówią tylko o danych oficjalnych, a milczą o istotnym bezrobociu całkowitym i bezrobociu częściowym.

Niezależnie od klęski bezrobocia, która dla wyciągnięciem spada całkowicie na barki klasy robotniczej, obserwujemy w tych krajach nieustanny wzrost cen. W Wielkiej Brytanii wskaźnik cen wykazuje wzrost 65 proc., a w ślad za spadkiem zarobków realnych świat pracy mógł kupić w roku ubiegłym o 16% mniej odzieży, o 23% mniej przedmiotów gospodarstwa domowego, niż w roku 1946, a przeciętna norma dziennego wyżywienia jest niższa od przeciętnej przedwojennej co najmniej o 22%. We Francji oficjalny wskaźnik cen detalicznych skoczył w okresie grudzień 1947 r. — styczeń 1948 r. o 7%, a dla artykułów żywnościowych o 12%, mimo rzekomych starań rządu Queuille'a o obniżkę cen. Niski poziom płac, zamykanie zakładów pracy lub ograniczanie ich produkcji, jak to się dzieje pod dyktando USA we wszystkich krajach marshallowskich, w Belgii również jest przyczyną dalszego zniżania możliwości nabywczej olbrzymiej większości ludności kraju. Fała drożyzny przybiera na sile i podczas gdy oficjalny wskaźnik cen w roku 1947 opiewał na 350 — 420 (rok 1938 = 100), to ostatnio szereg artykułów przekracza znakomicie ten wskaźnik, jak np. oliwa (600), tłuszcz wołowy (700), węgiel (519), tytoń (509) itp.

Ze zubożeniem klasy robotniczej, z ogólnym zubożeniem kraju kontrastują rosnące zyski kapitalistów, zarabiających olbrzymie fortuny na wyzysku robotnika i na frymazarzeniu suwerennością gospodarczą swoich

Maria Żmigrodzka

## Kultura dla jutra!

**T**radycje walki ideologicznej proletariatu polskiego sięgają ostatnich dziesięcioleci XIX w. Słaby początkowo nurt ideologii rodzącej się klasy, tłumiony wszelkimi środkami przez antagonyściyczną klasę panującą, tendencyjnie niedostrzegany przez ideologów burżuazji, torował sobie drogę wolno i z trudem, ale nieustępliwie. Trudno uchwytny z pozoru, uparcie przemilczany przez pisarzy mieszczańskich był zjawiskiem rozstrzygającym o dynamice kulturalnej epoki. Początki ruchu proletariackiego przypadały na lata triumfu ideologii burżuazji polskiej: przełom lat 70-tych — 80-tych jest okresem szczytowego rozwoju pozytywizmu, który zresztą wkrótce już podkopany wewnętrznymi sprzecznościami systemu, pozbawia się chwały i rozkładu. Krytyka pozytywizmu, bezwzględne, nieprzejednane pojęcie jego zakłamania, demaskowanie klasowego sensu filantropii i moralizatorstwa. To jedna z najwcześniejszych rozpoczętych antymieszczańskich kampanii lewicowej publicystyki polskiej. Już pierwsze, nielegalne pisma „Proletariatu” drwili ze „świątyni pracy narodowej, jakim mianem cieszy się u nas każda nowa knajpa”. Pamiętnikarz robotniczy Olbrzymek z nasza nucił praktykę społeczną „organizmików”.

Kultura proletariacka w okresie, w którym emancypowała się spod opieki „starszych braci w jednej narodowej rodzinie”, posiadała oblicze zdecydowanie polityczne. Proletariat, rozporządzający nowoczesną wiedzą o rzeczywistości, obnażając ostro mechanizmy historii, nie posługiwał się przy formułowaniu swych interesów klasowych i dążeń politycznych językiem wzniosłych metafor i skomplikowanym kostiumem ideologii. Wzrost walki politycznej rozstrzygała o obliczu kultury proletariatu z okresu zmagania z klasową dominacją burżuazji. Partia była ośrodkiem dyspozycyjnym życia mas robotniczych.

Proletariat musiał etapami wydzierać wrogię klasie wszystkie narzędzia walki ideologicznej. Wbrew organicznikowskiemu hasłu „świątyni ludowej” samouctwo robotnicze nie tylko rzadko spotykało się ze zrozumieniem i pomocą, lecz przeciwnie, traktowane było zdecydowanie wrogo. Samodzielnie wybrana świecka książka w rękach robotnika stała się nierzadko okazją do pierwszego protestu opekunów moralnych, rzucą cień na reputację robotnika, podrywa wiarę w jego solidarystyczną uległość. Fakt ten notują nie tylko pamiętnikarze proletariacy z lat 80-tych i 90-tych. Książka długo pozostawała symbolem panowania klasowego. Okupacyjne wspomnienia Pogana, sztykowanego przez jego ziemiańskich chłebodawców za uparte samouctwo, są wymownym przykładem długowieczności pojęć o monopolu kulturalnym klasy posiadającej. Książka w ręku robotnika była w indywidualnych biografiach wielu działaczy robotniczych pierwszym e-

tapem buntu, pierwszym stopniem uświadomienia klasowego, pierwszym wstrząsem niweczącym mistyczne uzasadnienie moralne wyzysku. Stąd niespotykany w dziejach kultury samokształceniowy zapal aktywistów robotniczych, stąd zmuszające do szacunku osiągnięcia ludzi, którzy, pozbawieni elementarnego przygotowania naukowego, zdobywają wśród pracy i walki rozległe wykształcenie i odczytanie. Rudnicki przypomina, jak studiując w więzieniu pasjonujące go dzieło z zakresu socjologii drżał, by żandarmom nie przyszło do głowy zwolnić go przed końcem kślaski.

Książka bywa pierwszym etapem wychowania człowieka rewolucji. Częściej zresztą kolejność jest odwrotna: od praktycznego udziału w walce do samokształcenia świadomego członka partii. Odezwa, wywołująca w r. 1897 do pierwszego strajku piekarskiego, była prawdziwym wstrząsem dla najbrutalniej wyzyskiwanych, na pół żyjących pariasów robotniczego społeczeństwa. „Widziałem starych piekarzy — pisał Olbrzymek we wspomnieniach o tym strajku — którym przy czytaniu odezwy łyżki ciekły po zaplaczonych twarzach. Włec nie było roboce, nie zwierzęta dwunożne. A „Towarzysze” — my — towarzysze.” Wielka idea walki i świadomość solidarności klasowej wracała pocieczą godności ludzkiej. Warszawski strajk piekarski z r. 1897 ilustruje słowa Lenina: „Dopiero walka wychowuje klasę wyzyskiwaną, dopiero walka daje jej poczucie siły, rozszerza jej widnokrąg, rozwija zdolności, rozjaśnia umysł, wykuwa wolę”.

Sytuacja klasy, pozbawionej wszelkich narzędzi legalnej organizacji walki politycznej i działalności kulturalnej, stwarzała specyficzną, konspiracyjną sieć instytucji życia proletariatu, istniejącą na marginesie społeczeństwa burżuazyjnego i uparcie podkopującego podstawy jego panowania. Tradycyjne formy życia towarzyskiego nasycały się polityczną, nielegalną treścią. Majówki robotnicze przeistaczały się w sesje między-partijne, wieczorki młodzieżowe przybierały charakter zebrań świeńców. Co więcej, instytucje, strzegące panowania klasowego burżuazji, służące zgnieceniu ruchu robotniczego, zostały przez proletariatu wyzyskane w sposób służący sprawie rewolucji. Pojedyncze cele więzienne stały się „uniwersytetami”, w których aktywni robotnicy czytali i uczyli się na umór, cele zbiorowe były instytucjami pośrednimi między akademią sztuki konspiracyjnej a parlamentem podziemnej Polski. Sclerą się w nich poglądy wszelkich partii nielegalnych; niedoświadczeni działacze przechodzili świetną szkołę praktyki politycznej. Moskiewskie więzienie na Butyrkach, w którym więźniowie polityczni oczekiwali na podróż „etapem z karcą” do miejsca zesłania, było, jak żartuje Rudnicki, miejscem urządzonych przez rząd regularnych zjazdów rewolucjonistów z naj-

dalszych krańców Rosji carskiej. Omawiano tam sprawy i potrzeby ruchu, dyskutowano taktykę walki.

Warunki walki klasowej proletariatu, odsunętego przez klasę panującą od wszelkich zdobyczy cywilizacji ludzkiej, sprawiły także, że do podstawowych form literackiej manifestacji ideologii klasowej należały odezwa czy ulotka polityczna oraz pieśń rewolucyjna.

Odezwa, anonimowe wezwanie do solidarności w walce, pisemny rozkaz konspiracyjnej armii, to nie tylko podstawowe narzędzie techniki organizacyjnej. Nieudolna ulotka jest niejednokrotnie pierwszym występiem literackim późniejszych ideologów i pisarzy partii. Lucjan Rudnicki wspomina, że, gdy napisał swą pierwszą odezwę, władze partyjne przeżarte jej stroną formalną zabroniły mu ponownego wystąpienia w tej roli. Odezwa jednak budziła entuzjazm wśród towarzyszy, była własnie literaturą, jakiej potrzebowało, zapisem dążeń i warunków życia klasy. Droga od nieporadnie napisanej ulotki do książki, odznaczona Państwową Nagrodą Literacką, jest symbolem dziejów kultury proletariackiej.

Osobny rozdział w historii ruchu należy do pieśni rewolucyjnej. Debutuje ona „Mazurem kajdaniarskim” Waryńskiego, gdzie nowa treść rewolucjonizowała silną jeszcze konwencję szlacheckiej piosenki powstańczej. Społeczne funkcje zróżnicowały ją na pieśń bojową i andrusowską, kłarską śpiewkę uliczną, w której optymizm walczacej klasy rozprawił się z przyszłymi „Jeńcami”, „carem, polćmajstrem, szpiclem-fiołem” i kapitalistą.

Drogę od masy bezsilnych, wyzyskiwanych nędzarzy do awangardowej siły, budującej nowy świat, przeszła klasa robotnicza pod przewodem partii, „przodującego oddziału, najwzwyższej formy klasowej organizacji proletariatu” (Stalin). Od bujnego, lecz wciąż tłumionego życia buntowników, od ukradkowego chowania z dobroktem kulturalnym ludności na marginesie pracy i walki — do pełnego budownictwa kultury w skali państwa proletariackiego prowadzi długa droga, zwana historią polskiego ruchu robotniczego.

W toczącej się dziś bitwie o przebudowę kultury polskiej, o ideologiczną jedność narodu, prowadzonego przez klasę robotniczą, zanikły dawne i ulamkowe formy życia ideologicznego proletariatu, przekształciły się w pełne uczestnictwo w kulturze Polski Ludowej. Okres 1948-49 jest etapem przygotowawczym dla wielkiej kampanii, jaką stanowi plan sześciolatni.

„To godzina bolesnych i radosnych porównań, towarzyszu Eluad, towarzyszu marzenia, w moich słowach jest węgiel i metale Śląska, górniczy przekraczają plan, hutnicy i włókniarze przekraczają plan, moja partia układa wielki plan na jutro”.

(Adam Ważyk)



Ludwik Łakomy

# IMIONA WOŁAJĄCE O POKÓJ

**Z** inicjatywy Departamentu Zatrudnienia Ministerstwa Pracy powstaje trasa od najulubieńszej wsi Staszica — Suchedniowa, poprzez Michniów, Bodzentyn aż do Słupi Nowej.

Puszcza Jodłowa, tylekroć opiewana, a tak mało jeszcze znana, była zawsze wolna. Dawała schronienie, kryła tajemnice, stawała się podstawą działań zbrojnych. Toteż nie dziwnego, że w 1943 roku wydały na nią wyrok zagłady siekiery hitlerowskie. Padł starodrzew bukowy „na Słowiku”. Zdziwionym oczom, patrzącym z podnóża gór, odsłaniają się gołoborza szczytów, które okradziono z płaszcza odwiecznych lasów. W pasmach ocieskim i cisowskim szerzą się liszaje zębów przestrzennych, padają jodły i buki. W 1944 r. widoczną staje się zagłada rezerwatu cisowego w Dyminach. Padł stary drzewostan osłaniający macierzyński cisy, z których pozostało nie więcej nad 300 okazów.

Tu, w tej wolnej puszczy, ciągną się kilometrami okopy, urwiste zapadliny rowów przeciwczołgowych, martwe lasy zasieków, płatawiska kolczastych drutów oraz zwalone olbrzymie odzinki drzew ze zsiękanymi kikutami pni i wypaloną, jedną z najbardziej charakterystycznych w Europie, roślinnością.

Nie rozporządzamy jeszcze dokładnym obrazem spustoszeń w chronionych obszarach natury pierwotnej Łysogór. Co prawda zręcznie prowadzona cicha walka polskich leśników z zamysłami okupanta uratowała, ile mogła, szaty roślinnej, a gdzie mogła, zło naprawiała. Ale to była walka niemal bez nadziei, gdy każdy krok okupacji znaczył się milowymi krokami ku „Totalvernichtung”, czemu sprzyjały, celowość zamierzonego niszczenia, interes łatwego zysku oraz logika wojny sprzymierzona tu najsilniej. Straty te niezwykle trudno wyrównać zważywszy, iż dzieło uprawy ludzkiej nie zastąpi pierwotnego samorodnego wysiewu, a wprowadzenie powtórne jodły i buka w Łysogórze, nie mówiąc już o beznadziejności uprawy cisów, przy zmienionych warunkach wegetacji ogromnie jest utrudnione.

Opodal trasy budowanej obecnie drogi Suchedniów — Bodzentyn leży Góra Bukowa, której malownicze skały i szczątki skalne, z uwagi na życie roślinne, tworzą jeden z najbardziej interesujących zakątków florystycznych nie tylko Łysogór, ale w ogóle Europy. Jej zachodnia część jest pokryta piękną, czystą, jodłowo-bukową, środkowy taras przedstawia starą, jodłowo-bukową puszcę z przewagą buka będącą prawdziwym skarbcem życia roślinnego, a wschodnia jest pokryta prawie wyłącznie li tylko bukami.

Góra Bukowa była pierwszym ośrodkiem walki z okupantem. Na niej mianowicie, jeszcze na przełomie lat 1939-40, obozował dłuższy czas oddział majora Hubala, przybyły tu po klęsce grupy gen. Kleberga w lasach kockich nad Wieprzem. Opodal jej zboczy Niemcy przeprowadzili jedną z pierwszych „pacyfikacji” na rodzinie Boczańskich. W pobliżu niej wreszcie leży męczenniki Michniów. Kiedy mam pisać o Michniowie, wsi, dla której obecnie budowana droga jest prawdziwym bogostawieństwem, oddaję głos nagrobkowi zaopatrzonemu w napis łaciński „POKÓJ” a poniżej w mrozące krew w żyłach głoski:

„Grób zbiorowy szczątków niewinnie wymordowanych i żywem spalonych przez Niemców w dniach 12 i 13 lipca 1943 roku”.

Dalej następuje straszliwa lista 203 nazwisk. Wymowa tych nazwisk jest szczególnie jasna w dobie walki o pokój, w dobie, kiedy sprawę walki o pokój stawia się jako „kamień probierczy” — że użyję tu porównania, Osmaczyka — każdego człowieka, każdej społeczności, każdego narodu, każdego kontynentu, całej ludzkości.

A przecież ta sama droga Suchedniów — Słupia Nowa możemy dojść do Łysej Góry, gdzie w klasztorze świętokrzyskim znajdują się po dzień dzisiejszy cele, w których wymordowano dziesięć tysięcy jeńców radzieckich w latach 1941—43! Jak na urągawisko widnieją na ścianach klasztoru malowane przez szablon napisy: „KANNIBALISMUS WIRD MIT DEM TODE BESTRAFT”, będące świadectwem kultury faszyzmu, której owocem jest trzydzieści pięć milionów zgładzonych istnień ludzkich, w czym część milionów ludności polskiej.

Ow gmach przeznaczono teraz na muzeum, które, łącznie z pobliskim Michniowem, winno być zwiedzane nie mniej licznie niż ka-



Grób zbiorowy ofiar hitlerowskich w Michniowie

nie Oświęcim, Majdanka czy Pawiak. Napisy o ludobójstwie jako świadectwo „kultury” „Mijmów” powinny stanowczo zostać za grubymi szybami.

Tu żyli oraz działali „Bracia Polscy”, apostołowie pokoju, dziwne stowarzyszenie, szerzące wiarę o niesprzeciwianiu się złu, o nieprzysięganiu, o miłości ku nieprzyjaciółom i prześladowcom.

Tu przecież, w dostrzegalnych z Łysej Góry: Jeleniowie pod Nową Słupią, lub w płaskim odgródzonej od świata mieście, Rakowie — pracowały ognisłone arianie drukarnie, wyrzucające w świat w polskiej mowie twierdzenia, że: nie godzi się nosić i nie wolno używać oręża, nie wolno walczyć i sędzić, nie wolno nie tylko przysięgać, sprawować urzędów połączonych z władzą nad życiem i śmiercią, ale nawet udawać się do nich we własnej sprawie, jeśli tylko z karą bliższych połączonych być mogły.

Wracając do Suchedniowa widzimy morze równin ścielących się u stóp Łysej Góry, która nabiera jakichś czerwonych krwawych odcieni. Spokój ostatnich chwil odchodzącego słońca piosną dochodzące z północy odgłosy nieustającej pracy w hufach i wytwórniach Ostrowca świętokrzyskiego, Starachowic i Skarżyska. Zarosłe mchem i tarniną przepastne otwory porzuconych kopalń różnorodnej rudy stopniowo się ożywiają, tak jak spod ozdoby głów zda się rozsypane w gruzy, a dawno poniechane zakłady przemysłowe wyrastają na nowo świecące czerwienią hal i kominów.

Dzięki wspaniałemu budowy bity drogi z Suchedniowa do Słupi Nowej ożywi się dziś zapomniana, pełna błota, nędzna miasteczka Bodzentyn, która ongiś posiadała wytwórnie zwierciadeł, blachy i narzędzi rolniczych a obok wyłożonych kostkami szerokich ulic pyszniła się wspaniałym gmachem zarządu miejskiego i potężną, pełną dzieł sztuki piękną kolegiatą. Dzięki nowej drodze już obecnie powstaje ze zgłiszcz Michniów, oczekuje na rozwój starożytny Tarczek, wspomniany jako targowisko łysogórskie już w XI wieku,

a ponieważ „jednym z czołowych zadań 6-letniego planu budowy podstaw socjalizmu w Polsce ma być ożywienie jej zacofanych i zaniedbanych obszarów”, przeto wierzymy, że ta najbardziej zła z biednych, chociaż je-

dna z najbardziej uroczych okolic Polski centralnej, potęgą entuzjazmu i pracy wznie- sie sobie pomniki wskrzeszonymi fabrykami, odbudowanymi ze zgłiszcz wsiami samopomo- cowymi, budowlami domów kultury



Mieszkańcy Michniowa przed ich przytuliskiem w rok po wojnie



Łysica



Na gruzach męczenniczej wsi zakwitła nowe życie



# 1 MAJ (1892 — 1905)

„Będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu oznaczonym, w tym celu, aby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa, ograniczającego liczbę godzin pracy i do wykonania innych postanowień kongresu paryskiego.

Zważywszy, że podobna manifestacja jest wyznaczona na 1 maja 1890 roku przez amerykański Związek Pracy na jego kongresie, odbytym we wrześniu roku 1888 w St. Louis, termin ten przyjmuje się również dla manifestacji międzynarodowej. Robotnicy wszystkich krajów mają wykonać tę manifestację w warunkach, jakie im narzuca położenie ich krajów.

(Uchwała Kongresu Paryskiego Międzynarod. Socj. 1890).

## „ODEZWA NA ŚWIĘTO 1 MAJA 1892 R.”

Towarzysze Robotnicy!

Już po raz trzeci cały świat robotniczy obchodzi swoje

wielkie, uroczyste święto 1 Maja.

Dwa razy już dzień ten był dniem zwycięstwa ludu pracującego, dwa razy już miliony dowiodły, że wszyscy robotnicy — to jedna, wielka, miłująca się wzajemnie, rodzina, że nie chcą już oni dłużej znosić biedy, nędzy i upokorzenia! I w tym roku uroczyste obchód święta robotniczego na Zachodzie przekona o tym świat cały! My polscy robotnicy, czyż pozostaniemy w tyle poza innymi?! Nie! I w tym roku, zarówno, jak lat poprzednich, będziemy się domagać praw słusznie nam przynależnych! Chcemy ludźmi być i po ludzku żyć!

Uroczystym, świątecznym, a spokojnym obchodem 1 Maja przekonamy wyzyskiwaczy i ciemiężców naszych: panów, fabrykantów i rząd moskiewski, że wszyscy razem, śmiało i odważnie wypowiadamy nasze żądania:

Chcemy pracować tylko osiem godzin na dzień, byśmy nie marnieli od nadmiernej pracy, byśmy mieli czas na kształcenie się, rozrywkę i odpoczynek i by więcej ludzi mogło mieć zajęcie.

Żądamy też, by zarobki nasze były większe, byśmy posiadali dostateczne dla nas i rodzin naszych utrzymanie, któreby zabezpieczyło nas od nędzy, dzieci nasze od wycieńczenia swych sił młodocianych dla zysków fabrykantów, córki nasze od strasznej konieczności sprzedawania ciała swego, by uratować się od śmierci głodowej.

Domagamy się swobody politycznej! Precz z okrutnym, samowładnym carem, zabijającym najlepszych i najsłabszych z naszych obrońców. Chcemy sami sobą rządzić! Chcemy swobody zebrań, na których byśmy mogli radzić nad polepszeniem doli naszej; wolności słowa i druku, by nikt za swe szlachetne dążenia nie był wtrąconym przez carskich żandarmów do więzień i wysyłanym na Sybir na długie i ciężkie męczarnie.

Żądamy, by nas nie zmuszano mówić i myśleć w obcym języku! Żądamy polskich szkół i polskich sądów!

(Odezwa wydana przez Związek Robotników na dzień 1 maja 1892 r.).

## SWOBODA POLITYCZNA I 1 MAJ

Już zaraz od początku polscy robotnicy postawili 1 Maja oprócz 8 godzin pracy, drugie, swoje własne żądanie: swobody politycznej! Bez swobody politycznej, bez prawa strajkowania, prawa związków i zebrań, bez wpływu na rząd — najgłośniejsza korzyść 8-godzinnego dnia pracy dla nas przepadnie. Hasło 8 godzin pracy oznacza ograniczenie wyzysku. My do niego dodać musimy drugie hasło „Swoboda walki z wyzyskiem!”

Gdy lud roboczy postanowił wybawić się z niewoli rządu carskiego — wyrok śmierci na niewolę zapadł — dni jej są policzone. Lud się nie zatrzyma przed żadnym środkiem: krwi swej nie pożałuje dla uzyskania swobody. Tak walczyli kiedyś zagraniczni robotnicy — tak i my walczyć będziemy.

Ale godzina ostatnia jeszcze nie wybiła. Dziś nie pora na bitwy z wojskiem i policją. Dziś naszą walką z rządem jest — Święto Majowe.

Czyż możemy zmierzyć się z wrogiem, nie znając naszej siły? Musimy pierw policzyć nasze szeregi, zapytać: ilu już jest robotników pragnących swobody? Pokażę to Święto Majowe! Wtedy zobaczymy, kto stanął na apel 8 godzin pracy i swobody politycznej. Gdy nadejdzie dzień, że usłyszymy: w Warszawie — wszyscy, w Łodzi — wszyscy, w Dąbrowie, w Żyrardowie — wszyscy świętują! Gdy nadejdzie taki 1 Maj — on będzie ostatnim dniem naszej niewoli! Dziś świętujemy i liczymy nasze szeregi.

Każdy 1 Maj zbliża nas do tej chwili, z każdym rokiem zwiększać się musi liczba świętujących i pragnących swobody.

(Z odezwy wydanej przez Różę Luksemburg na 1 maja 1894 r.).

## DO WALKI

Nigdy jeszcze proletariatu polski nie szykował się do swego święta majowego w chwili tak ciężkiej i tak brzemiennej w ważne wypadki polityczne, jak w tym roku. Wchodzimy na pole demonstracji majowej w czasie, gdy kryzys i stagnacja handlowa pozbawiły dziesiątki tysięcy robotników pracy i chleba.

Podnosimy hasła 1 Maja w samym rozgardiaszu walki, jaką proletariatu rosyjski wyprowadził absolutyzmowi carskiemu. W chwili bezrobocia i głodu — do walki!

Szybko minęło kilka lat ożywienia handlowego i przemysłowego, kiedy roboty w kopalniach, fabrykach, warsztatach i handlu było stosunkowo dużo, często aż nazbyt dużo. Fabrykanci rozszerzali swe fabryki i zwiększali liczbę swych maszyn; giełda i



Barykada w Łodzi w 1905 r.

bankierzy rozszerzali swe operacje, zwiększali pole spekulacji i oszustw. Kupcy i komisjonerzy odkryli nowe pola handlu, nowe pola zbytu, nowe gałęzie pośrednictwa...

A co skorzystał robotnik w tych tłustych latach kapitalistycznych, które tak prędko przeleciały?

Nie! Jak przed kilku laty nie miał nic, prócz rąk do pracy, tak teraz, po świetnych chwilach rozwoju kapitalistycznego, stoi wobec stagnacji z pustymi rękami. Albo jest zupełnie pozbawiony pracy, albo pracuje mniej i zarabia jeszcze mniej. Gdy interesy kapitalistyczne kwitły, gdy fabrykanci nie mogli nadać obrotu, przedłużano pracę robotnika, ile się dało. Wciągano do pracy więcej kobiet i dzieci. I kiedy kapitaliści zgarniali z pracy robotników miliony do swych kieszeni, kiedy praca robotników budowała nowe fabryki, stawiała nowe maszyny, ryla nowe kopalnie i szachty, budowała nowe koleje, wznosiła nowe kamienice i pałace, zwiększała własność kapitalistyczną — nie polepszyło się ani o włos położenie klasy robotniczej. Z tych świetnych tryumfów kapitalistycznych robotnik nie miał nic, prócz przedłużonych dni roboczych. Musiał pracować dłużej, bo roboty było huk. A co zarobił więcej na dodatkowych godzinach pracy, to mu zabrał kamienicznik, podnosząc komorne, to mu zabrał rząd w podwyższonej cenie wódki monopolowej i nowych podatkach, to mu zabrała coraz większa drożyzna mięsa, chleba, jarzyn, opału, światła. A od przydługiej pracy ilu poniosło kalectwa na całe życie — ilu padło trupem na polu pracy!

A teraz stagnacja. Przedtem było za dużo pracy, teraz jest za mało pracy. Przedtem było źle, teraz jest jeszcze gorzej.

W takich warunkach manifestacja majowa zwraca się ze szczególną siłą przeciw kapitalizmowi, który w tłustych latach tuczy się pracą robotników, aby im w chwili stagnacji odebrać pracę, zmniejszyć zarobki, skazać na jeszcze większą nędzę lub zupełnie wyrzucić na bruk uliczny.

(Z odezwy wydanej przez S. D. K. P. i L. na 1 maja 1902 r.).

## DEMONSTRACJA MAJOWA W WARSZAWIE

Na mieście ruch niebывały: ruch ten ma dzisiaj zupełnie innych charakter, aniżeli zwykle. Na Marszałkowskiej, Świętokrzyskiej, Placu Zielonym, Próźnej i w okolicach

widąc prawie samych robotników. Twarze rozgorączkowane, oczy płoną, ruchy szybkie. Idą po większej części po kilku, żywo rozmawiając. Dzień to święta, dzień proletariatu, dzień nasz — a dla burżuazji i rządów dzień strachu. Słyszeć można robotników mówiących: „Jak przyjemnie pomyśleć, że dziś na całym świecie robotnicy świętują; tylko dla nich to naprawdę dzień święta, a dla nas dzień walki. Ale i u nas już niedługo będzie lepiej, musi być lepiej. Ruch kołowy ogromny: dorożki pędzą jedna za drugą całymi szeregami, tramwaje przepełnione. Burżuazja chce widzieć, co będzie, a boi się iść pieszo. Policji masa. Nadchodzi godzina 5. Ruch się wzmaga. Robotnicy, zbierający się na ulicach bocznych, zaczynają skupiać się w jednym punkcie ul. Marszałkowskiej, pomiędzy Świętokrzyską i Prózną. Po wpół do szóstej na ulicy tłum kilkudziesiętny, już zaczyna się tworzyć centrum, jeszcze parę sekund, a ponad głowami powieją czerwone sztandary — gdy naraz otwiera się z trzaskiem brama domu na rogu Marszałkowskiej i Próźnej i zaczynają się sypać konni żandarmi i kozacy.

Wyjechało ich z 200 i puścili konie. Wjeżdżają na trotuary, pędzą środkami ulicy. Gapię rzucają się w popłochu do ucieczki, wpadają na skupiających się robotników, za ni-

placu Bankowego, stamtąd zawrócił i doszedł do Białej. Na ulicy Białej napadli koźacy w liczbie 50 i tutaj wywiązała się walka. Jednakże kozakom się i tu nie udało. Chodziło im głównie o pochwylenie sztandarów i tych, co je nieśli, ale ich zręcznie zasłonięto. Sztandary ocalały, aresztów też prawie nie było. Pochód trwał pół godziny, od 6 do 6.30. Demonstracja miała charakter bardzo uroczysty. Pochód, wzruszający ustawiczne rewolucyjne okrzyki i pieśni, robił wrażenie. Stróżę i dorożkarze zdejmowali czapki. Po zwinięciu sztandarów demonstranci się rozproszyli. Na Marszałkowskiej wzięto 2 osoby. W ten sposób nasza demonstracja majowa udała się nadszpiekowanie.

(„Czerwony Sztandar” Nr 17, maj 1904)

Zeromski z rodziną mieszkał w Nałęczowie w tym samym domu, co i Gustaw Daniłowski...

Zeromski założył tajną szkołę, był twórcą wszystkich poczyną społecznym, był przede wszystkim człowiekiem czynu.

Był koniec października. Kolejne stąnęły. Ale nagle gruchnęła wieść o manifestacji październikowej — o upadku absolutyzmu. Zeromski promieniał cały. Dzielił się z przyjaciółmi marzeniami o tym, co najbliższa przyszłość Polsce przyniesie. Przyjaciele nie chcieli saczyć zwątpienia do jego duszy.

1 listopada 1905 roku zaimportowano zebranie na wzgórze...

„Przemawiał Zeromski.

Jak dziś pamiętam jego postać na wzgórzu, z rozwianym włosom. Oczy jego rzucały błyskawice, a słowa padały mocne, ważne i ciężkie. Gromił ugody i słabość, nawoływał do ofiarnego czynu. Przypominał, że masy pracujące — robotnicze i chłopskie — są narodem, a poza tym narodem pozostanie tylko garstka zdrajców i zaprzaców. „Kto chce walki o niepodległość i lepszą przyszłość narodu, ten pójdzie z nami — za czerwonym sztandarem!”

I tłum za przewodem Zeromskiego opuścił wzgórze śpiewając.

Do Zeromskiego ludność odnosiła się z pietizmem, a endecy psy na nim wiesiali.

29 listopada w domu Zeromskich obchodzono rocznicę listopadową... Zeromski wygłosił najpierw krótkie przemówienie, następnie odczytał z namaszczeniem manifest Towarzystwa Demokratycznego...

Na sali zapanował nastrój rewolucyjny. Wreszcie znany działacz ludowy Kazimierz Duleba (brat proletariata Henryka), który z żoną i jej siostrą, Faustyną Morzycką, znaną działaczką, mieszkał w Nałęczowie, zaintonował pieśń:

„Armata pod Stoczek”, zmieniając ją trochę. Tak np. śpiewał:

„My chłopie, nie znamy wiedeńskich traktatów...”

Tłum włościański złożony z paruset PPS-owców i ludowców z okolicy, podchwycił tę pieśń przy pierwszej strofie. Później odśpiewano „Czerwony Sztandar”.

(Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce, nr 119).

Jednodniowy strajk polityczny, proklamowany na 15 maja przez Komitet Łódzki S.D.K.P. i L., aczkolwiek nie był powszechnym, dał podniecie do nowej fali strajków ekonomicznych. „Szał” strajkowy — pisze

## SOCJALDEMOKRACJA KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY

### NA DZIEŃ I-GO MAJA.

Do wszystkich Robotników w mieście i na roli.

Obrzeczni lud roboczy polski i rosyjski powstał, jak jeden mąż, do walki na śmierć i życie z carem samowładnym. Na spokojnie wygłoszone żądanie wolności politycznej przez tłumy robotników w Petersburgu, car odpowiedział rozkazem wymordowania tysięcy bezbronnnych kobiet, dzieci i starców. Odrzucił i rzezie, dokonywane przez parchołków carskich, przeciętą krwią i szkieletami przez wszystkie miasta caratu. Tę i my, robotnicy polscy, strajkujemy w wyrażeniu swą solidarności z bracią rosyjską, z tą samą rzezią swą zabijającą i na nas.

WŁAŚCICIEL: to tych trupów, które padły w Petersburgu, Warszawie, Łodzi, Dąbrowie, nie masz już dla nas innej drogi, jak konary rozpoczynać. Rozpoczynać dla nas żadnej nadziei polepszenia naszej nędzy doli, zdebiła 8-mio godzinnego dnia roboczego, póki nie zwalimy w gruz krwawego samowładztwa.

Dopiero wtedy, gdy zgromadzimy konstytucyjną, przez całą ludność dorosłą, bez różnicy stanu, narodowości i płci, w powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim głosowaniu obrano, ogłoszimy Republikę w państwie rosyjskim, kiedy będzie nam, rządzić nie dala, sz-

Odezwa SDKPiL na dzień 1 maja 1905 r.

mi z niemilknącymi okrzykami: „Precz z carem!”, „Niech żyje 1 Maj!”, „Niech żyje 8-godzinny dzień roboczy!”, „Niech żyje socjaldemokracja!”, „Niech żyje socjalizm!” itd. i ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru” przeszedł wzdłuż Elektoralnej ulicy, doszedł d

korespondent z Łodzi w Nr 10 „Z pola walki” z dnia 30 czerwca 1905 r. — na nowo ogarnął Łódź robotniczą... „Szał” wywalczania sobie lepszej doli. Rozpoczynają się strajki od fabryk drobnych, 30 maja staje szereg fabryk wielkich. 1 czerwca strajkuje około 33 tys. robotników. Zaciętość strajkujących jest niezwykła. „Robotnicy” — pisze tenże korespondent — „by przeszkodzić używaniu łamistraszków do pracy utrzymując solidarność we własnych szeregach, z fabryk nie wychodzą wcale, tam jedzą, tam śpią, tam urządzają wiece, na których przemawiają mówcy socjaldemokracji, niczym, gdybyśmy posiadali już w Łodzi wolność polityczną”.

„Z pola walki”

„Robotnicy, nawet nie przygotowani do walki, nawet ograniczający się z początku tylko do obrony, pokazują nam na przykładzie proletariatu Łódzi nie tylko nowy wzór rewolucyjnego zapалу i bohaterstwa, ale i wyższe formy walki.”

Lenin, czerwiec 1903



Paweł Korzec

# ŁÓDŹ PRZED 1905 ROKIEM

Łódź „Manchester” polski, zawiera w dziejach swego powstania i rozwoju wiele pierwiastków amerykańizmu, ale jeszcze więcej elementów miast instytucji kolonialnych. Ośrodek polskiego przemysłu i kapitalizmu powstaje i rozwija się w warunkach specyficznych i odmiennych od podobnych mu zjawisk w Europie czy Ameryce.

Łódź powstaje jako kolosalny ośrodek przemysłu kraju politycznie zależnego. Powstaje i rozwija się zasadniczo bezplanowo, żywiołowo, bez szczególnej myśli politycznej czy ekonomicznej. Rozwój jej czy upadek są ściśle uzależnione od koniunktury politycznej. Łódź jest ośrodkiem przemysłowym, o tyle tylko polskim, że położona jest na ziemiach polskich. Kapitał, który ją tworzył był zagraniczny; fachowa siła robocza zagraniczna; produkcja obliczona była na zbył za granicą. Ten nienarodowy charakter rozwoju przemysłu łódzkiego wywierał specyficzne piętno na stosunki ekonomiczne, demograficzne, urbanistyczne i społeczne miasta.

Łódź powstała jako żywiołowy i bezplanowy wytwór kapitalizmu kolonialnego i stąd wynika fakt, że jeszcze po kilku dziesiętnościach lat dwudziestego stulecia Łódź, aczkolwiek przekracza liczbę 600 tysięcy mieszkańców, nie była miastem w pełnym tego słowa znaczeniu. W pierwszych latach zaś dwudziestego wieku Łódź stanowiła kompleks osad fabrycznych, w których ośrodkami były ogromne fabryki, domy zaś mieszkalne były koniecznym do tych fabryk dodatkiem. Łódź pozbawiona była w tym okresie elementarnych instytucji kulturalnych, czy użyteczności publicznej. Brak kanalizacji i dostatecznej ilości studzien, dawał w wyniku antysanitarny stan miasta. Domy mieszkalne były to, albo nędzne, parterowe, drewniane lepianki, budowane przeważnie na przedmieściach, jak Widzew, Chojny, Bałuty, albo też ogromne, koszarowe, ponure domy rodzinne — fabryczne lub czynszowe w śródmieściu, gdzie słońce było niespotykanym gościem. Obok lepiarek robotniczych mieszczyły się bogate pałace fabrykanckie. To pomieszanie nędzy i przepychu jest jeszcze jednym dowodem, że Łódź nie rozwija się zgodnie z warunkami ekonomicznymi innych miast kapitalistycznych, gdzie powstawały wyodrębnione dzielnice handlowe, przemysłowe, zamieszkałe przez bogaczy i inne zamieszkałe przez proletariata. Stąd brak w



Magistrat i kościół ewang. na Nowym Ryнку (dziś Plac Wolności) w r. 1827. W głębi ul. Piotrkowska

w Cesarstwie (bez Królestwa i Finlandii) 96 kopiejek.

Różnice te stają się jeszcze jaskrawsze przy porównywaniu z poszczególnymi miastami. Omawiane powyżej wydatki wynoszą:

|                      |                     |
|----------------------|---------------------|
| Moskwa . . . . .     | 2 ruble 70 kopiejek |
| Petersburg . . . . . | 2 „ 68 „            |
| Warszawa . . . . .   | 0 „ 48 „            |
| Łódź . . . . .       | 0 „ 8 „             |
| Zgierz . . . . .     | 0 „ 2 „             |

Skutek tego stanu rzeczy był taki, że 50% mieszkańców Królestwa to analfabeci. Gubernie polskie dawały najwyższy procent rekrutów — analfabetów ze wszystkich guberni europejskiej Rosji, około 80%. Na stan ten złożyła się jednak nie tylko wybitnie antypolska polityka oświatowa rządu carskiego, lecz również postawa polskich klas posiadających. W żadnym okręgu imperium

przypada 300 robotników. Przemysł wełniany wykazuje znacznie większe rozproszenie kapitałowe. Przeciętna ilość robotników w fabryce wełnianej wynosi 128 robotników. Za to wartość produkcji przypadającej na jednego robotnika jest tu znacznie wyższa, wynosi mianowicie 2.400 rb. rocznie, gdy w przemyśle bawełnianym zaledwie 1.960 rb. Jest to zresztą zrozumiałe, gdyż przemysł wełniany produkował na ogół z szlachetniejszego i o wiele droższego surowca. Brak większej dysproporcji można wytłumaczyć o wiele nowocześniejszym uzbrojeniem technicznym przemysłu bawełnianego. Łódzki przemysł włókienniczy, a w szczególności bawełniany, wykazują rzadko spotykaną tendencję do zupełnie zamkniętej i samowystarczalnej produkcji.

W tym czasie wielkie firmy, jak I. K. Poznański lub Karol Scheibler, posiadają w Brazylii i Afryce ogromne plantacje bawełny, dostarczające surowca na produkcję ich fabryk. Posiadają również własne kopalnie węgla. W ten sposób zakłady te produkują od własnego surowca do zupełnie wykonanego towaru, sprzedając go nawet przez własne przedstawicielstwa zagranicę. Uwielokrotnia to oczywiście otrzymywany zysk, uniezależniając jednocześnie te fabryki od koniunkturalnych wahań podaży surowców. Ten stan rzeczy pozwala też wielkim przedsiębiorstwom na stosunkowo łatwe likwidowanie małych konkurencyjnych fabryk. Nie dziwi też, że właśnie w przemyśle bawełnianym spotykamy niebywałą w innych gałęziach przemysłu koncentrację produkcji i kapitału. Koncentracja ta odbywa się w ramach ogromnych towarzystw akcyjnych, wykazujących tendencję wzajemnych fuzji i kartelizacji danej gałęzi przemysłu.

Zakłady wielkich towarzystw akcyjnych odgrywały także bezpośrednią rolę w pozostałych gałęziach przemysłu bawełnianego. Mniejsze fabryki bowiem zazwyczaj jednooddziałowe, przeważnie tkalnie, przerabiały przędzę zakupowaną z produkcji wielooddziałowych zakładów towarzystw akcyjnych. Ten stan rzeczy spowodował, że w okresie słynnego lokautu łódzkiego, prócz siedmiu wielkich zakładów bawełnianych także mniejsze fabryki musiały ograniczyć produkcję z braku przędzy.

Koncentracja przemysłu i powstanie fabryk — kolosów w rodzaju Karola Scheiblera (1905, zatrudniającej 6.300 robotników), lub I. K. Poznańskiego zmienia także z gruntu oblicze klasy pracującej w przemyśle łódzkim. Zmienia się zarówno skład narodowo-

dla robotnika polskiego. Okoliczność ta wywołuje, niesłychany w dziejach miast polskich przyrost ludności:

| rok  | ilość mieszkańców |
|------|-------------------|
| 1793 | 190               |
| 1820 | 767               |
| 1827 | 2.840             |
| 1833 | 5.700             |
| 1837 | 10.000            |
| 1840 | 18—20.000         |
| 1856 | 21.560            |
| 1860 | 29—32.000         |
| 1872 | 50.000            |
| 1878 | 100.000           |
| 1888 | 150.000           |
| 1897 | 315.209           |
| 1904 | 328.986           |
| 1909 | 393.526           |
| 1914 | ok. 500.000       |
| 1926 | 565.000           |

Z tablicy powyższej widać, że podobnie jak całość spraw Łodzi, także wzrost czy spadek ludności miasta są ściśle sprzęgnięte z przemysłem i koniunkturą gospodarczą. Okres rozwoju wielkokapitalistycznego przemysłu łódzkiego (1872—1897), obejmujący okres 25 lat wywołuje przyrost ludności z 50 tys. do 315 tys., co stanowi przeszło 500 procent przyrostu. Zato kryzys gospodarczy lub wojenny wywołuje tutaj również nigdzie nie spotykany katastrofalny spadek ludności. Tak np. zaludnienie Łodzi obniża się mocno w latach rewolucji 1905/7 r., w latach zaś 1914/18 spada aż do 250 tys. ludzi. Stan ten jest wynikiem wybitnie jednostronnego rozwoju ekonomiki miasta i słusznie można by postawić tezę, że historia Łodzi to dzieje przemysłu włókienniczego.

Specyficzny rozwój kapitalizmu łódzkiego wywiera wpływ na charakter klasy robotniczej. Składa się ona z różnych elementów. A więc obok najbardziej uświadomionej, radykalnej, zrewolucjonizowanej części klasy robotniczej, niektóre elementy tej klasy podlegały wpływom reakcyjnym, klerykalnym, pseudonarodowym i antysocjalistycznym. Był to również wynik niezwykle intensywnego rozwoju miasta. Przybywające do fabryk masy robotników to przeważnie przybysze z okolicznych miasteczek i wsi, chłopcy, których nędza wygnała ze wsi rodzinnych na poszukiwanie chleba i które powoli do piero nabierały proletariackiej świadomości klasowej.

Mimo to jednak organizacje robotniczo-socjalistyczne, są liczniejsze i o wiele bardziej dynamiczne od konkurencyjnych związków robotników narodowych, czy kadeckich. Ruch zawodowy obejmuje w tym okresie już znaczne odłamy klasy robotniczej. Najliczniejszy był w Łodzi Zw. Zaw. Bezpartyjny, liczący w końcu 1906 r. ok. 17.000 członków. Zw. Zaw. Przem. Włók. S. D. liczył 12.000 osób. O wiele mniej członków posiadały Zw. Zaw. Bundu oraz tzw. „Związki Polskie”, jak N.Z.R., Jedność i Związek Rob. Chrześcijan. Siła i znaczenie zw. zaw. socjalistycznych uwydatniły się jaskrawo w okresie lokautu, organizując sprawnie pomoc dla bezrobotnych, podczas gdy udział zw. endeków w akcji pomocy był niezwykle niski.

Organizacjom klasy robotniczej przeciwstawia się, świetnie już w tym okresie zorganizowana i wykształtowana klasa burżuazyjna — fabrykancka Łodzi. Jednak również i na tym odcinku nie jest Łódź wolna od swoich specyfików, które składają się na wytworzenie szczególnego typu społecznego ładu „Łódzermenscha”. Łódzermenscha cechuje brak jakichkolwiek idei, lub norm społecznych. Jedyną jego ideą jest robenie pieniędzy za wszelką cenę. Stąd niesłychany wysys robotnika, przy pełnym braku troski o jakiegokolwiek instytucje społeczne. W swojej pogoni za bożkiem — pieniądzem łódzermenscha nie waha się nawet przed przestępstwem, stąd rozpowszechniona w Łodzi plaga grynderstwa<sup>2)</sup>. Łódzermenscha



Fabryka Ludwika Geyera

Łodzi tzw. Citty handlowego. Życie miasta skupia się — jak już mówiliśmy — dośrodkowo, wokół poszczególnych fabryk — osad, jak Widzew, fabryka Poznańskiego, Geyera itd. Nawet nader rzadkie w mieście instytucje kulturalne są prawie wyłącznie instytucjami fabrycznymi. A więc np. przy fabryce Scheiblera mieści się szkoła początkowa i zawodowa, przy fabryce Poznańskiego znajduje się większy szpital, na fabryce Heintzla i Kunitzera na Widzewie powstawał nawet z inicjatywy właścicieli teatr dla robotników, szybko jednak przemieniony na, przydatniejszy — zdaniem Kunitzera — do osłabienia rewolucyjności robotników, kościół.

W ogóle Łódź stanowi w tym okresie miasto kontrastów. W roku 1908 łódzkie szkoły elementarne mogły pomieścić zaledwie 20% dzieci, obok tego istniał nadmiar drogiej, prywatnych szkół średnich. Przy ogromnym braku szpitali i instytucji społecznych Łódź słynęła z wielkich hoteli, kabaretów i nocnych lokali. Rozwój oświaty w Polsce w omawianym okresie był bardzo słaby, zaś w zaniedbanym Królestwie Łódź z okolicą znajdują się jeszcze na szarym końcu<sup>1)</sup>.

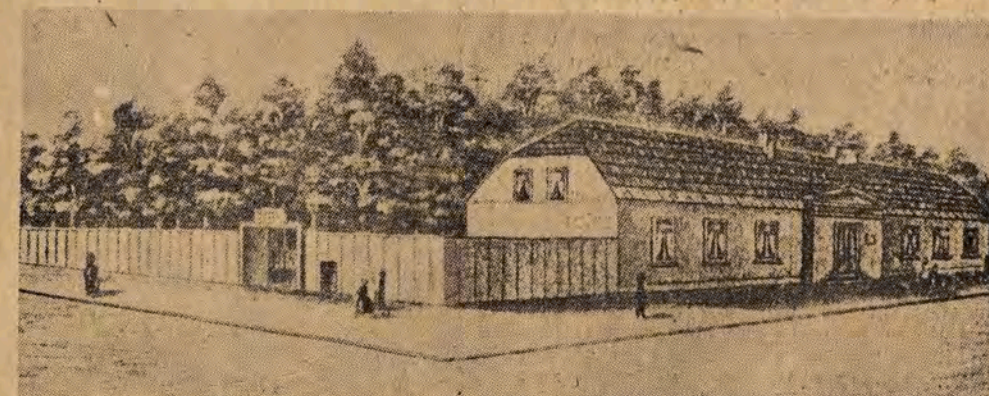
w Rosji była jedna szkoła na 2.030 mieszkańców.

w Królestwie była jedna szkoła na 3.243 mieszkańców

Wydatki miast na oświatę powszechną i instytucje dobroczynne w 1897 r. wynosiły średnio na 1 mieszkańca:

w Królestwie 31 kopiejek.

<sup>1)</sup> Szuster — Rewolucja 1905—7 r. w Polsce, str. 265



Ulica Piotrkowska i róg ul. Przejazd w r. 1858

ściowy, jak i charakter społeczny mas pracujących w przemyśle, wytwarzając stopniowo klasę robotniczą we współczesnym tego słowa znaczeniu świadomą i zorganizowaną. W fabrykach przedwielkokapitalistycznych, technicznie nisko wyposażonych, dominującym typem robotnika był Niemiec. Imigrant, o względnie wysokich kwalifikacjach, zawodowych, zaś żywioł robotniczy miejscowy zatrudniony był przeważnie przy pracach pomocniczych. Mechanizacja przemysłu, czyniąc pracę bardziej prostą i wymagającą znacznie mniejszych kwalifikacji zawodowych, otworzyła szeroko wrota fabryk

w tej walce z robotnikami nie waha się uciekać do pomocy skorumpowanej policji rosyjskiej. Chęć zysku za wszelką cenę stawia go nader często na marginesie społeczeństwa, a bardzo często przeciwko niemu, pozwala mu na bezwzględne, antyhumanistyczne i antynarodowe działania, bez konieczności liczenia się z opinią publiczną kraju. Stąd zjawisko konfliktów łódzermenscha nawet z burżuazją polską.

<sup>2)</sup> Podpalanie własnych fabryk i domów w celu uzyskania odszkodowania ubezpieczeniowego.



Czesław Zieliński

# MOJA DROGA\*)



Czesław Zieliński jako górnik

## NAUKA, ALE DLA KOGO?

Mieszkałem wtedy w departamencie Nord, w miejscowości Masny, na kolonii robotniczej, niedaleko kopalni. Pewnego dnia przyszedł do nas prefekt żandarmerii i powiedział do ojca:

— Monsieur Zieliński, bardzo mi przykro, ale czas przyszedł, nie ma rady... Zdjął czapkę, usiadł przy stole, a ja schowałem się w kącie.

— Tak, tak — mówił jak gdyby do siebie, a cały czas patrzył na mnie — nie ma rady. Dzisiaj wasz synek, monsieur Zieliński, kończy trzynaście lat, n'est-ce-pas? A więc czas do pracy, do kopalni. Wiedzie, jakie są ustawy. Albo do szkoły, albo do pracy. Więcej uważać się po ulicach nie wolno. Uprowadzam, monsieur Zieliński, od jutra do pracy...

Już wychodząc, ale stojąc jeszcze w drzwiach żandarm obrócił się i powiedział z ironicznym uśmiechem:

— Do szkoły chyba go nie oddacie, bo i za co? Hi, hi, hi, do szkoły...

Jeszcze teraz pamiętam ten śmiech... Dobrze odgadł żandarm: do szkoły nie poszedłem, bo nie było za co. Zresztą, nikt z moich rówieśników nie poszedł do szkoły. Wszyscy moi koledzy, którzy tego dnia ukończyli trzynaście lat, poszli na jutro do pracy.

Dopiero później zrozumiałem, co oznaczała ta ustawa. Mówiła ona o prawie każdego do wykształcenia, do nauki. Zmuszała nawet, jak widzieliśmy na przykładzie z tym żandarmem. Ale tylko mówiła, tylko formalnie zmuszała. Niby to zabezpieczała prawo do nauki, ale w rzeczywistości stanowiła niepokonaną przeszkodę dla klasy robotniczej, dla szerokiej mas pracujących. Zabezpieczała prawo do nauki, ale dla synków i córek mieszczan, kupców, urzędników, właścicieli i prywatnych, fabrykantów i przedsiębiorców. Szkoła była droga, dobrze kosztowała i nie mieściła się w budżecie rodziny robotniczej.

Poszedłem więc na jutro do pracy, do kopalni „VILLMAN”. Zresztą, nie była to moja pierwsza praca. Nie miał racji prefekt żandarmerii z Masny, mówiąc, że się wałęsam po miasteczku. Już od dwóch bowiem lat pracowałem jako pastuch u bogatego chłopca francuskiego, mieszkającego niedaleko od nas. Chodziłem za krowami, pomagałem w gospodarstwie za kąs do spania i jedzenie. Ale nie była to stała praca, bo tylko latem, i to nie zawsze...

Latem chodziłem w „lapiach” ze szmat, ubiawanych u dołu sznurkiem. Zwano je we Francji „espadrillami”. Zimą w butach, podbitych drzewem zamiast skóry.

## DLA KOGO PRACOWAŁEM?

Zostałem pomocnikiem strzałowego, wysokiego, chudego Fracusa o nazwisku Caprain. Odtąd wędrowałem z nim po wszystkich chodnikach i zakamarkach kopalni „VILLMAN”. Poznałem wszystkie ściany i filary wszystkie zabierki i przecinki, poznałem dokładnie wszystkie tajemnice tej kopalni. Nosiłem na plecach wielką pakę z materiałami wybuchowymi, a w ręku — paczkę z lontami. I tak poznałem wkrótce wszystkie rodzaje uwarstwień węgla, a pomagając strzałowemu w pracy, obserwowałem skutki wybuchów. Już wtedy uderzyło mnie, że w jednym pokładzie przy tej samej ilości materiału wybuchowego górnicy wyrywały więcej węgla, a w innym znowu — mniej. Widziałem również, jak niektórzy górnicy mniejszą ilością materiału wybuchowego wyrywały więcej węgla, niż ci, którzy ładowali zbyt dużo tego materiału. Różnie też wiercili otwory. Ale najczęściej — pracowali według raz ustalonego szablonu, niechętnie z nimi zrywali, wzorując się na swoich ojcach.

Po roku, gdy zorientowałem się dość dobrze we wszystkich sprawach kopalni, wzięto mnie do pchania wózków z węglem. Zostałem wozakiem przy pół- i całotonowych wozach.

\*) Fragment z książki: „Jak wykonałem 721% normy” — która ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka-Wiedza”. Literacko opracował książkę Marian Niewiarowski.

Przez pięć lat pchaliśmy te wózki we dwójkę razem z moim kolegą z tego samego osiedla. Pracowaliśmy jak dorośli, a płacili nam według stawek dla młodocianych...

Już wtedy nieraz zastanawiałem się, dla kogo pracuję, dla kogo tracę codziennie siły i zdrowie? Kto korzysta z mojej pracy i z tego węgla, który ja i ten towarzysz obok mnie pchamy do szybu wyciągowego?...

Wiele czasu upłynęło, póki zrozumiałem, kto dorabia się majątków na naszej pracy, póki zrozumiałem cały mechanizm ustroju, w którym żyłem, ustroju, w którym jedni pracują, a drudzy żyją z tej pracy...

Pół dnia pracowałem wtedy na to, aby utrzymać się przy życiu, a drugie pół dnia, aby tuczyć kapitalistów...

Na kopalni wybucha strajk. Żądamy wszyscy podwyżki płac, które nie wystarczają na utrzymanie, żądamy uznania naszego związku i jego delegatów, żądamy przyznania płatnych urlopów... Na czele strajku stają towarzysze — górnicy, którzy należeli do Komunistycznej Partii Francji. Walczą oni wytrwale o zwycięstwo naszej sprawy, nie ustępują i nie poddają się podszeptom łamistrąjków. Ale po zakończonym strajku zostają aresztowani, jedni za swoją walkę zapłacili więzieniem, drudzy wyrzuceniem z pracy, innym zabroniono powrotu do miejsca zamieszkania... Wtedy zrozumiałem, kto walczy o dobro klasy robotniczej, o dobro całego narodu. Mając lat piętnaście wstępuję do Komunistycznego Związku Młodzieży Francji, aby razem ze wszystkimi świadomymi członkami klasy robotniczej, prowadzonej przez KPF, walczyć o lepsze jutro mas pracujących, o pełne wyzwolenie spod władzy kapitalistów, o socjalizm — przeciwko siłom ciemnoty i reakcji, przeciwko faszyzmowi.

Kolportowałem „HUMANITE”, roznosiłem ulotki, rozlepiełem afisze... Jest to już rok 1938. Fala rewolucyjna ogarnia cały kraj. Zbliża się Front Ludowy. Niebawem wybucha u nas znowu strajk. W naszym osiedlu odbywa się potężna manifestacja. Pod naporem wytworzonej sytuacji politycznej — kapitalista ustępuje. Strajk wygrywamy, ale nie na długo.

Szybko mija oszołomienie zwycięstwem Frontu Ludowego. Jeszcze raz udaje się zdrajcom klasy robotniczej i narodu francuskiego sprzedać żywotne interesy Francji, oddać ją na łup nadciągającego faszyzmu. Wtedy zrozumiałem, jaką rolę odgrywają w ruchu robotniczym takie typy, jak Blum czy Daladier. Zrozumiałem wtedy, co to znaczy być „rewolucjonistą” w słowach, a co znaczy to samo w czynach.

W roku 1937, po upadku Frontu Ludowego, zostaje zwolniony z pracy na kopalni za udział w strajkach i za rewolucyjną działalność w Związku Komunistycznym Młodzieży Francji.

## UWAGA! KOMUNISTA!

Często zastanawiałem się (a było to jeszcze wtedy, kiedy miałem pracę) dlaczego ja i wszyscy moi towarzysze, szliśmy do roboty niechętnie, dlaczego górnicy musieli na dole poganiać dozór i mimo że przywiązaliśmy się do naszej kopalni, wprost nienawidziliśmy miejsca naszej pracy, każdego nowootwartego pokładu, każdego nowootwartego chodnika... Jak gdyby jakiś ciężar, brzemie jakieś ciążyło na nas...

— Nie chce się wam pracować — mówili niekiedy do nas. Kiedy zostałem bez pracy, zyskując sobie w koncernie węglowym opinię niebezpiecznego wyrotowca, niejednokrotnie zgłaszałem się do kopalni po robotę... Zaczęłem szukać pracy, bo nie miałem z czego żyć. Chciałem pracować, ale ile razy przychodziłem po pracę... odmawiali.

Oto stoję przed okienkiem kopalni „ARCHEVEQUE”. Pytają o imię i nazwisko. Mówię im, a oni zaczynają szukać w kartotece. Ka-

żą mi czekać, a sami dzwonią do kopalni „VILLMAN”. Po chwili mówią:

— Bardzo nam przykro, monsieur Zieliński, ale nie możemy pana przyjąć...

Potem stoję przed okienkiem kopalni „SAINT MARI”.

To samo. Niestety, nie mogą...

Potem stoję przed okienkiem kopalni „ERSCHA”.

To samo. Bardzo nam przykro, ale nie możemy...

Potem przed okienkiem kopalni „ESCARPEL”.

Potem przed okienkiem kopalni „ESCARPEL II”.

Potem przed okienkiem kopalni „BILLIMON TEGUI”.

Niestety, bardzo nam przykro, ale do pracy przyjąć nie możemy.

Czerwonym, mocnym ołówkiem podkreślona była na mojej karcie personalnej adnotacja dyrektora kopalni „VILLMAN”, który mnie wyrzucił z pracy za udział w strajku: „BON OUVRIER MAIS MAUVAISE TÊTE”... Dobry pracownik, lecz złą głowę. Oznaczało to: UWAGA! KOMUNISTA!

Mimo, że chciałem pracować, nie było dla mnie pracy w całym departamencie. Kapitaliści często się między sobą kłócili, ale w tej sprawie byli bardzo solidarni. Wędrowała za mną karta personalna, innym razem dyskretny telefon dyrektora kopalni uprzedzał o niebezpiecznym robotniku.

Nie było rady, musiałem zrezygnować z pracy na kopalniach w naszym departamencie. Po prawie rocznym poszukiwaniu pracy wyjechałem do departamentu Pas de Calais, gdzie udało mi się dostać robotę w hucie „PINANT ROXAL”, położonej w miejscowości Noll Godeaux. Aby otrzymać tę pracę, jeździłem codziennie 40 km i wystawiałem w ogonku przed okienkiem tej huty.

Pewnego dnia zachorował maszynista krajowy. Przyjeźli mnie na jego miejsce i tak pracowałem trzy miesiące, aż maszynista wyzdrowiał. Wtedy mnie znowu zwolnili, bez odszkodowania, z radą, żebyśmy poszli sobie do kopalni nr 8 (FOS VIII) w Courselles Lances, bo tam, zdaje się, potrzebują robotników. Poszedłem do tej kopalni, zapisał mnie i kazali przychodzić codziennie, może się znajdzie kiedyś jakaś praca...

Wreszcie pewnego dnia wyszedł jakiś urzędnik, zmniejszył mnie wzrokiem od stóp do głowy i ponieważ byłem nieco wyższy od swoich towarzyszy — zaczął zaczekać i po chwili zapisał na listę pracujących. Przeprowadziłem parę dni, a on żąda ode mnie, abym dał mu „certyfikat”, czyli zaświadczenie z poprzedniej kopalni, gdzie pracowałem... Oznaczało to, że jeśli mu dam swoją kartę z kopalni „VILLMAN” — to znowu mnie z pracy wyrzuci...

Kreśliłem, jak mogłem, tłumaczyłem mu, że to daleko jeździć, do departamentu Nord, że nie mam na to pieniędzy, wreszcie, znudzony, przyjął mnie i zapisał na stałe na podstawie mojej „fiszki” z tej kopalni, czyli odcinka listy pracy...

Tam pracowałem do roku 1939.

## NA ROBOTACH PRZYMUSOWYCH I W RUCHU OPORU

Wiedząc o wkroczeniu Niemców zastałem mnie na tej kopalni. Jestem już rębaczem, najmłodszym rębaczem na kopalni. Uciekam do Barrois, gdzie pracuję przez osiem dni... Po ośmiu dniach miasto zajmują Niemcy.

Zgubna, sprzedajna, zdraziecka polityka Blumów, Daladierów, Flandinów i Lavalów, którzy sprzedali Francję i jej naród wydali na łup hitlerowców — dosięga i mnie. Jestem zmuszony ukrywać się. Uciekam do Saint-Leges, gdzie udaje mi się dostać pracę u bogatego chłopca. Zostaje jego parobkiem. Niedługo jednak trwa praca u niego. Nie mogłem pozostać na miejscu dłużej niż parę tygodni. Zaczyna się odtąd nieustanna wędrowka od jednej miejscowości do drugiej miasteczka, od jednego chłopca bogatego do drugiego, w ciągłej obawie, że natrafią na

moje ślady. Aż w r. 1942, kiedy jechałem pociągami, na stacji Cinquiten łapią mnie i wywożą do obozu koncentracyjnego na Gernsaj. Jest to wyspa, leżąca między Anglią i Francją. Spędzam tam na robotach przymusowych pół roku. Po odebraniu wszystkich dokumentów przewożą nas z powrotem do Francji i osadzają w obozie, niedaleko portu Brest. Stąd udaje mi się uciec i po krótkim czasie ukrywania się nawiązuję kontakty i wstępuję do Francuskiego Ruchu Oporu. Pracuję jako łącznik, objeżdżam lotniska niemieckie i dostarczam materiałów wywiadowczych, jednocześnie organizuję dostawę materiałów pędnych dla komórek motoryzacyjnych Francuskiego Ruchu Oporu. Dzięki potężnej ofensywie Czerwonej Armii siły hitlerowskiej machiny wojennej legły w gruzy. W roku 1945 udaje się do kopalni „BARROIS” i zaczynam od nowa pracę.

## ROZMOWA Z INŻYNIEREM FRANCUSKIM

Bywało, stoimy przy ścianie albo leżymy we dwójkę zaopatrzeni w pneumatyczne młoty. O metr ode mnie stoi mój towarzysz. Nie dalej niż metr, ale ja go nie widzę, ani on mnie. Z węgla wydobywa się stale gaz, cholerny gaz. We wszystkich kopalniach francuskich jest ten gaz. Piętnaście lat wdecham ten gaz, towarzysze. Piętnaście lat, pomyślcie.

Pewnego dnia przychodzi do mnie na dół francuski inżynier kopalniany i powiada:

— Dlaczego pan chce wyjechać, monsieur Zieliński, przecież pan nie jest Polakiem, właściwie jest już pan na wpół Francuzem! Po co pan wyjeżdża?

Powiedziałem mu, że płuca zostawiłem we Francji, ale serce mam z Polski. Że chcę pracować dla siebie, że mam dosyć pracy dla innych, dla kapitalistów i akcjonariuszy... — Podwyższymy opłatę za wózek... wprowadzimy więcej wentylatorów... — kusił mnie inżynier.

Pomyślałem wtedy o swojej pracy i walce moich towarzyszy. Pomyślałem o tych, którzy niedawny strajk i wiele innych zdusili przy pomocy policji i wojska. Pomyślałem o kraju, z którego ojciec kiedyś wyjechał za chlebem, a który teraz wzywa do siebie, do pracy i odbudowy.

Gdy powiedziałem, że chcę zmienić „klimat”, że chcę oddychać wolnym powietrzem, Francuz był zdumiony...

13 lipca 1946 — to dzień, w którym dotknąłem pierwszy raz ojczywej ziemi. Był to pamiętny dzień w naszym życiu.

Zaczęłem pracować na kopalni „Makoszowy”, należącej do Głiwickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Jest to piękna, zmechanizowana, nowoczesna kopalnia. Po paru latach, kiedy odjeżdżałem do Katowic na inne stanowisko, bardzo żał mi było tej kopalni. Przywiązałem się do niej i trudno było mi się z nią rozstać.

Nie dziwnego. Pracowałem pierwszy raz w życiu na naszej, własnej kopalni. Bez kapitalistów. Bez wyzyskiwaczy.

## TERAZ WEZMIEMY SIĘ DO PRACY

Gdy zjechałem pierwszy raz na dół, byłem oszołomiony! Co za węgiel! Co za bogactwo! We Francji inżynier, idąc chodnikiem przewozowym i widząc leżący na ziemi kawałek węgla, podnosił go niemal z nabożeństwem wrzucał do wózka:

— C'est l'or! — to złoto — mówił.

A tu za jednym zamachem, za jednym ładunkiem materiału wybuchowego, za jednym strzałem obsypują się wspaniałe kęsy twardego, czystego węgla. I to wszystko jest nasze, własne, należy do nas!!!

Eh, pomyślałem sobie, teraz weźmiemy się do pracy. Teraz, towarzysze, wyprostujmy kark. Poczułem się zupełnie innym człowiekiem. Teraz zrozumiałem, skąd brała się niechęć do pracy u mnie i u wszystkich robotników, którzy pracowali na kopalniach francuskich! Dość niewolniczego trudu dla wyzyskiwaczy, dla kapitalistów, żyjących z naszego potu i z naszej pracy! Teraz, towarzysze, pracujemy dla siebie, dla własnego kraju, w którym władza należy do rąk ludu, w którym fabryki, huty, kopalnie stanowią własność całego narodu! Kraj potrzebuje węgla, jak najwięcej węgla? My go damy, towarzysze!

I oto pewnego dnia po całym kraju rozlega się wołanie:

„Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopalni! Kto wyrąbie więcej węgla niż ja?”

Podpisano:

Wincenty Pstrowski  
rębacz kopalni „Jadwiga” w Zabrze

Lotem błyskawicy rozeszło się to wezwanie po wszystkich kopalniach naszego zagłębia. 16 września 1947 roku otrzymałem wezwanie od mego towarzysza pracy z tej samej kopalni:

„Ja, Kocot Wilhelm, wzywam Zielińskiego Czesława do współzawodnictwa pracy i zobowiązuje się osiągnąć normę wydajności w 170 procentach. Ile zrobisz więcej?”

Podpisano:

Kocot Wilhelm  
rębacz kopalni „Makoszowy”

Tego dnia przyjąłem wezwanie. Był to drugi pamiętny dzień w moim życiu.

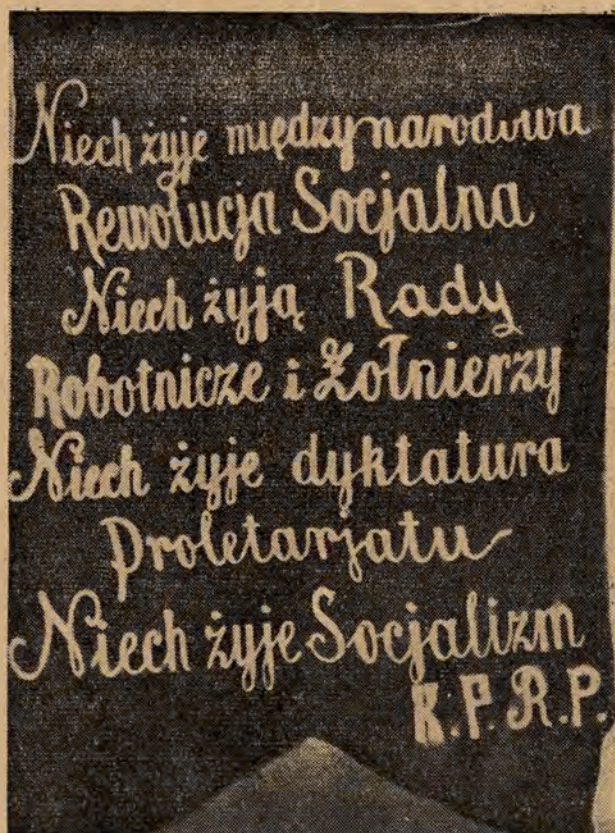


W kopalni węgla

Fot. J. Jaraczewski



## 1 M A J (1918—1939)



Jeden ze sztandarów wywieszonych przez warszawską organizację KPRP na początku 1919 r.

„Łódzianin” 26 maj 1923.

## „O ZAJŚCIA Z DNIA 1 MAJA”

„Sprawą masakry robotników, urządzoną w dzień 1 maja przez organa policji w Łodzi zajęły się energicznie nasze władze partyjne: łódzki OKR i CK PPS. Obciążający materiał zebrany przez naszych towarzyszy wykazuje dowodnie, że policja dopuściła się gwałtu i nadużycia władzy”.

„Łódzianin” 18 kwiecień 1923.

„Wobec jawnie prowadzonej akcji zmierzającej do zniesienia 8-godzinnego dnia pracy, kas chorych, płatnych urlopów i szeregu innych praw robotniczych, klasa robotnicza Łodzi zmanifestowała musi dnia tego dobitnie, że wszelkie te wysiłki rozbijają się o mur zorganizowanych szeregów robotniczych”.

KOMUNISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA POLSKI  
(Zjednoczone S.D.K.P. i Łódzka P.P.S.)

**W ciągu ostatniego tygodnia aresztowano szereg działaczy robotniczych i członków RADY DELEGATÓW.**

**O nas rozpraszano kłamie organizacji robotniczych.**

**Do protestu, towarzysze, przeciw tym gwałtom kontrrewolucji!**

**DO WALKI!**

**ROBOTNICZY!**

**Staniecie się w NIEDZIELĘ, dnia 29 b. m. na PLAC SĄSKI o godz. 2-ej p.p.**

Odezwa KPRP z 1918 r.

„Łódzianin” 9 maj 1925.

„Pan Barciński nie chciał, by robotnicy świętowali 1 Maja, a jednak świętowali!”

„W fabryce pana prezesa Barcińskiego mieszczącej się przy ul. Tylnej, robotnicy od półtora roku pracowali tylko 4 dni w tygodniu, od poniedziałku do czwartku. Ponieważ w tym roku 1 maj wypadł w piątek, a więc p. Barciński pragnął przeszkodzić świętowaniu robotników i pracę przesunął od wtorku do piątku — i taki „manifest” podał robotnikom do wiadomości.

„Na zebraniu robotniczym postanowiono nie przyjść w dniu 1 maja do pracy i z wyjątkiem paru starszych kobiet nikt do pracy nie przyszedł.

„Manifestacja w dniu 1 maja wypadła w Łodzi poważnie pod względem liczebnym, imponującą i dumnie...”

Poseł komunistyczny Stypka na placu Wolności zaczął przemawiać do zebranych. Skrzyształa z tego policja i zabrała do komisariatu 640 osób. Aresztowanych po stwierdzeniu ich tożsamości wypuszczono. Zatrzymano około 40 osób, przeciwko którym sędzia

śledczy prowadzi dochodzenie o rzekomo popełnione przekroczenia. Od rana miasto przybrało niepokojący wygląd. Na czele pochodu ruszyli dzieci „Ogniska Robotniczego”, wydziału wychow. dziecka, ze sztandarami. Za dziećmi OKR ze sztandarami szli więźniowie polityczni — dzielnice w porządku alfabetycznym, organizacje kobiet, Związku Zawodowe, TUR, Klub Kobiet Pracujących i tysiączne tłumy... Nawet prasa burżuazyjna przyznaje, że takiego pochodu w Łodzi jeszcze nie widziano...”

Pochód witają liczni przechodnie, mężczyźni zdejmują kapelusze przed czerwonymi sztandarami. Ten symbol walki, krwi przełanej przez robotników wzbudza szacunek”.

„Robotnik” 1926, maj.

„Obchód tegoroczny obchodzono w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego i masowego bezrobocia, które spowodowały straszną nędzę i głód wśród setek tysięcy proletariatu pozbawionych pracy”.

„Republika” 1 maja 1926.

„Od kilku dni policja polityczna przeprowadza rewizję i aresztowania wśród wybitnych członków centralnego kom. Komunistycznej Partii i zw. młodzieży komunistycznej. Wczorajszej nocy aresztowano około 100 osób ze związku młodzieży kom. Prócz tych zapobiegawczych środków władze bezpieczeństwa zmobilizowały wszystkie siły policji i sprowadziły z Pomorza kilkuset policjantów. Między innymi policja warszawska została zaopatrzona w łzawiące granaty, którymi w razie potrzeby będzie rozbijać tłumy”.

„Robotnik” 7 maja 1926.

„Dnia 1 maja już od wczesnego rana całe miasto było otoczone kordonem policji i wojska celem niedopuszczenia do miasta nadchodzących z okolicznych wsi włościan i robotników. Nawet kobiety i dzieci, udające się do miasta z nabiałem i do kościoła parafialnego dla święcenia jaj (była to prawosławna Wielkanoc) zawracano z drogi i wpuszczano do miasta tylko za przepustkami wydawanymi przez okoliczne posterunki policyjne.

Ludzi rozpedzano kolbami i bity, zaś w samym mieście konne i piesze patrole policyjne nie pozwalały ludziom na zbieranie się w grupkach. Doszło do tego, że sam starosta w nadmiernej gorliwości jadąc samochodem rozpedzał ludzi szpicrutą”.

„Niezależny Chłop”, organ „Niezależnej Partii Chłopskiej” w nr. 20 z dnia 2 maja 1926 roku w artykule wstępnym pt. „1 Maja” m. in. pisze:

„...I w Polsce ludzie pracy są rozbici. Zdradziecka polityka ugodowych partii robotniczych i chłopskich uczyniła wszystko, aby walkę pracujących o prawa swoje, o ziemię i władzę złamać... Uczyniono wszystko, aby klasę robotniczą rozbić i rozbroić, do jedności robotniczo-chłopskiej nie dopuścić, a wszystkich pracujących pogrążyć w otchłań nędzy i ucisku.

„Straty klasy robotniczej w rozbiciu poniesione powetuje wielokrotnie nowa potęga! Jest nią zorganizowana dla prawdziwej, szczerzej walki o wolność prawa i własnej pracujących — klasa chłopska.

Pierwszy raz chłopi w Polsce zorganizowani w Niezależnej Partii Chłopskiej, głoszą całemu światu oświadczenia, że Święto Majowe jest także chłopskim świętem! Pierwszy

to raz miliony rąk robotniczych i chłopskich spletały się w bratnim uścisku, policzą i zdwoją swe siły na walkę i zwycięstwo.

Niech więc wszyscy chłopcy, świadomi znaczenia jednolitej siły chłopsko-robotniczej dla walki o Polskę Chłopsko-Robotniczą staną w dniu 1 Maja do apelu! Niech wspólnie z robotnikami policzą swe szeregi i dzień ten zużyją na ich podwojenie...”

„Łódzianin” 1928, maj.

„Większość fabryk i tramwaje nieczynne. W pochodzie naliczyliśmy 12 orkiestr i 47 sztandarów, nie licząc niezliczonej ilości transparentów...”

W magistracie i na robotach miejskich zamarta wszelka praca. Samorząd socjalistyczny uznał 1 Maja za dzień świąteczny. Na gmachu Rady Miejskiej powiewa również czerwony sztandar. W myśl zapowiedzi pochód uda się na Polesie Konstantynowskie, do pomnika bohaterów poległych w walce z caratem w latach 1905—7, do pomnika wzniesionego w 1921 r. przez pierwszy socjalistyczny magistrat...”

Prasa burżuazyjna przed 1 majem zachowywała się zupełnie nieprzyzwoicie, a „Rozwój” to nawet podając uchwałę władz samorządowych o tym, że 1 maj jest świętem pracy i że na ratuszu będzie wywieszony czerwony sztandar, popadł w szal domagając się od władz, by zabroniły zawieszania sztandaru jako symbolu wrogiego mocarstwa, prowokującego godność narodu polskiego. Lecz potężna manifestacja odebrała prasie burżuazyjnej głos do tego stopnia, że ta nawet nie usiłowała podawać, jak to było dotychczas, że w pochodzie brało udział „kilkadziesiąt” osób. Przyszli do przekonania, że w takie kłamstwa nie uwierzą nawet ich bezkrytyczni czytelnicy.”

„Łódzianin” 1931, kwiecień.

„W niesłychanie ciężkich warunkach ludność pracująca Polski będzie obchodzić tegoroczne święto majowe. Bezrobocie, głód,

w dniu 1 maja zostały uruchomione. Pomimo tych wszystkich starań w całym szeregu fabryk część robotników nie stawiała się do pracy”.

„Tydzień Robotnika” 1 maj 1935.

„Dnia 1 maja strajk powszechny. Łódź proletariacka manifestuje o rząd robotniczo-chłopski, o pracę dla bezrobotnych, o 6-godzinnny dzień pracy, przeciw sanacji i endecji, przeciw wojnie i militarystyce, przeciw faszyzmowi, antysemityzmowi, służącym międzynarodowej burżuazji, za upaństwowieniem fabryk, kopalń, folwarków, dużych kamieniołomów, za obroną umów zbiorowych, za pokojem”.

„Tydzień Robotnika” 12 maj 1935.

„W kilkanaście minut po wyruszeniu manifestacji ktoś nagle rozwinął na ul. Główną sztandar komunistyczny (dalszy ciąg skonfiskowany przez cenzurę — przyp. nasz)”.

„Strach ma duże oczy”: O ile przy pochodach sanacyjnych, fraków i ZZZ nie było ani jednego policjanta, w okolicach Wodnego Rynku skonfiskowano całe oddziały policji w stalowych hełmach i pełnym uzbrojeniu. Do Łodzi sprowadzono nawet policję z okolicznych miast i powiatów...”

„Ci wszyscy domorośli politycy... co przewidywali niejednokrotnie bankructwo marksizmu, przekonali się, że w dniu 1 maja masy proletariackie Łodzi pozostały wierne socjalizmowi, chcą walczyć o swoje prawa i o chleb codzienny”.

„Tydzień Robotnika” 9 maj 1937.

„Sprawą Hiszpanii wysuwa się na czoło. Odezwe 1-majową poświęca się walce ludu hiszpańskiego przeciw napaści hiszpańskiego i międzynarodowego faszyzmu”. „Ku Hiszpanii zwracają się oczy mas pracujących całego świata”. „Nie wolno lekceważyć faszyzmu polskiego. Ofensywa faszyzmu trwa. Przerwany na jednym odcinkach próbuje się odegrać na innych”.



Demonstracja w dniu 29 grudnia 1918 r.

nędza — oto trzy słowa kryjące w sobie straszną treść: morze niedoli, cierpienie ludzkie. Niedola i cierpienie są dzisiaj udziałem mas pracujących”.

„Łódzianin” 9 maja 1931.

„Od rana przed lokalami zbiórek zbierały się tłumy towarzyszy, choć przemysłowcy starali się przeciwdziałać zgromadzeniu się robotników. Jedni czwartkowe wypłaty przenieśli na piątek — bo w tym dniu był 1 maj. Inni pracujący od poniedziałku do czwartku — w tym tygodniu rozpoczynali we wtorek, aby robotników pracujących 4 dni w tygodniu zmusić do pracy w dniu 1 maja. A nawet specjalnie w bieżącym tygodniu te fabryki, które czynne są dwa dni w tygodniu,

„Tydzień Robotnika” 8 maj 1938.

„W robotniczej stolicy Polski — Łodzi szło 75,000 osób ze stu sztandarami. Razem z robotnikami udział w pochodzie brali delegaci Klubu Demokratycznego i Stronnictwa Ludowego”.

„Zapamiętajcie te zbrodnie endeckie”: Kielce. Gdy pochód szedł obok lokalu endeckiego, endecy zrzucili z balkonu ulotki i kamienie. Poznań. — Pałkarze bili niewiasty pałkami i obrzucili kamieniami. Lwów. — Podczas przemarszu pochodu obok gmachu politechniki banda endeckich studentów rzuciła w tłum 4 petardy. Około dwudziestu osób odniosło rany. Grodno. — Bojówka endecka napadła na szeregi robotników żydowskich”.



Robotnicy Krakowa na zdobytym samochodzie pancernym, 1923 r.



Berthold Brecht

## BÓG WOJNY

Ujrzałem boga wojny.  
Stał na krawędzi pomiędzy przepaścią a ścianą skalną.  
Bil od niego zapach zwiędłego piwa i karbolu.  
Demonstrował przed wyrostkami żwawość ruchów, został  
bowiem odmłodzony

przez pewnego profesora.  
W podnieceniu wilczym głosem starał się wszystkich przekonać  
o swym sentymencie do młodości.

Obok stała jakaś wymęczona kobiecina i dygotała.

Ale on nie zawstydził się, przemawiał dalej.

Przedstawiał siebie jako Wielkiego Budowniczego.

Opowiadał, że napelni wszystkie spichrze,

Chociaż je opróżniał.

Zaczął rozdawać biednym ludziom po kawałku chleba,

który im uprzednio skrycie odebrał.

Głos jego brzmiał raz głośno, raz znowu cicho, jednak stawał się

coraz to gwałtowniejszy.

Głośno — mówił o nadchodzących Nowych Wspaniałych Czasach,

Cicho zaś — pouczał kobiety, w jaki sposób mają warzyć strawę

z wron i mew.

Nagle poruszył się niespokojnie.

Wyglądało to, jakby się obawiał, aby go nie pchnięto sztyletem.

I przez pięć długich minut przekonywał zebranych, że właściwie

zamierza powiedzieć tylko parę słów.

Przełożył T. Chrościelewski

Joseph Seamon Cotter Jr.

## B R A T

Przychodzi brat  
I każe nam w obliczu boga naszego stanąć.  
A gdy stanęliśmy przed bogiem,  
Rzeknę:

Panie, nie znam nienawiści.  
Nienawidzę mnie.  
Nie obilem nikogo,  
Zostałem ochłostany.

Nie pożądam niczyjej ziemi,  
Wyrzucono mnie z mojej.  
Nie wyszydzą niczyjej rasy  
Moja jest pośmiewiskiem.

Bracie, co odrzekniesz?

Przełożył T. Chrościelewski

Tadeusz Różewicz

## GŁOWA W PRÓŻNI

Jeżeli myślisz, że jesteś  
piękną głową  
osadzona  
na szczycie

Jeżeli myślisz, że jesteś  
obrotną głową  
nieruchomego kadłuba  
który grzęźnie w ziemi  
krwi i bydlęcym gnoju

Jeżeli myślisz, że krążysz  
po czystych okręgach intelektu  
dokąd z dołu dochodzi tylko  
pomruk zgiełk  
i mlaskanie masy

Jeżeli tak myślisz  
to jesteś głową  
która kołysze się lekko  
w wyludnionym powietrzu

jesteś głową  
która zostanie odjęta  
i odrzucona.

1949

## NOWE SŁOŃCE

Słyszę chrobotanie  
To ta staruszka drapie  
pazurkami po ścianie  
i kaszle jak zwierzątko

Więc idę do niej  
siadam przy okrągłym stole  
a ona wywołuje duchy  
ze spodeczka popija herbatę  
drobnymi jak ptak tykami

Na etażerze panowie  
z bródkami  
jenseits von Gut und Böse  
ostatnia ćwierć XIX wieku

Potrząsa suchą główką  
i opowiada o Wenecji  
Florencji o słońcu Italii  
Ja jestem baronówna z domu

To jest koniec świata  
teraz nowe gwiazdy wymyślili i słońca  
— mówi —  
i oczy zachodzą jej izami

1949

Jerzy Miller

## DROGA

Poprzestając na małym  
musielibyśmy zarzucić wszystko,  
miłość ludzi, przyjaźń prawdziwą,  
nadzieję i wolność samą.

Idziemy krokiem ociężałym,  
albo wzbijamy się lotem dysku,  
nikt z nas nie odpoczywa,  
nie widzimy opuszczonych ramion.

Wykonujemy dwie rzeczy jednocześnie,  
chcielibyśmy zaczynać trzecią,  
trasa nasza daleka i okrężna,  
ścian nienawiści nie kruszy się czołem.

Jesteśmy jak matki śmieszne  
nadskakujące dzieciom,  
miłość jest naszym, przez nas  
nieopanowanym żywiołem.

## W SŁOŃCU

Za odległością też kochają  
w miłości swej zapamiętali  
Są ludzie którzy w obcym kraju  
nie żywią nienawiści wcale

Oliwa z trybów spływa też  
i księżyc wspina się nad mur  
i ciasto wydłubują z dzieł  
dzieci wiodące śmieszny spór

podnosząc ojców swych zalety  
Tych ojców co się muszą kłaniać  
przed szefem no bo jeśli nie to  
wylecą z pracy niespodzianie

Światło przenika przez odległość  
Za odległością też wóz z cecią  
Za odległością też dzień życia  
poczyna wzbijać się nad los  
Za odległością też pszenica  
w majowym deszczu wznosi kłos

Witold Wirpsza

## W MARSYLII

Mogło się to dziać rok albo dwa lata temu,  
w kraju, w którym walka klas ma ostatnio  
szczególnie ostre oblicze i gdzie robotnik wie,  
że broni wielkich tradycji swego narodu.  
Te wiersze wstępu, pisane językiem suchym,  
to obrona przed zarzutem, że jestem, jak Francuz,  
sentymentalny.

Gdy port w Marsylii zapalał światła na dźwigach  
nad smugami syren okrętowych,  
gdy niebo było przejrzyste i ciemne, jak włosy dziewczyny  
i odległe w gwiazdach i złote w gwiazdach,  
stało u nadbrzeża dwoje młodych ludzi.  
Noc skryła plamy oliwy na wodzie,  
był sierpień i Orion wyraźny.  
„Patrz“ — powiedział chłopiec — „kiedy się pobierzemy,  
i kiedy synowie nasi wypłyną, krzepcy, na morza,  
oddam ci wszystko dokoła. Tobie będą okręty  
wozić z nad jezior Afryki złocistą kość słoniową,  
którą Murzyn, śpiwając załaduje na statek,  
płynący pod jego własną, murzyńską banderą.  
Tobie się dźwigi pokłonią, gdy przyjdiesz o włosach siwych,  
tobie krzyknie syrena wesoło, że świat jest wolny.  
Przestrzeń nasza do gwiazd, gdy zdobędziemy niebo,  
gdv siądziesz, zmęczona, wieczorem, przestrzeń twoja do gwiazd.  
I wspomnisz, kiedyś, o zmroku, przy lampie, co czoło wygląda,  
że cię kochałem w czas trudny, że w trudny czas walczyłem.“

Otoczył ją potem ramieniem i pocałował w usta.  
Wyszli z portu. On wrócił  
do swego pokoju i ze współlokatorem  
omawiał sytuację strajkową, mówiąc, że jest nielekko.  
Ona niechętnie podeszła do domu, w którym jej matka  
czekała już z wymówką i ułożonym zdaniem:  
„Młoda dziewczyna, ze schadzki wracając po północy,  
winna wiedzieć, że nie ma dla niej żadnej przyszłości.“

## NOC SIERPNIOWA

Górskie słońce prędko się ukrywa  
za górą lodową i niknie  
inną strefę planety ogrzewać  
Przed tą tajemnicą zamilkł szttygar  
gdy ostatnia blasku zabłysnęła mika  
aby odejść za góry i drzewa

Dostaliśmy gwiazdy i czerwony księżyc  
po dniu białym i czystym jak potok  
do spoczynku. Lecz nie śpimy jeszcze  
bo rozwidlił się i rozgałęził  
łuk świetlików jak stopione złoto  
On je wtedy widział po raz pierwszy

Nie wywozą z werandy. Całą noc  
będzie leżał z otwartymi oczyma  
Będzie pytał Czy za Uralem  
słońce grzeje teraz i może się wspiąć  
ponad hutę gdzie się topi cyna  
Czy teraz jest wieczór Czy wstaje poranek

Była noc stworzenia człowieka  
z biedaka o kawernach w płucach  
Było to odejście a mogło być powicie  
Ścianka siły była cienka jak powieka  
Jak ryba w oka sieci się rzucał  
Była noc sierpniowa walki o życie

Zbigniew Sio'arek

MIGAWKOWE ZDJĘCIE  
RAK ŻEBRACZKI

Z szyldu wysokiego: „Sklep kolonialny“  
nie zerwać nie mogły wyciągnięte ręce.  
Pod murem przykucały. Nie chciały ich karmić  
żadnych reklam tęcze.

Złe ręką wróżył (z ulicznych afiszy)  
jasnowidz Pyfello.  
— nie zatrzymają takie ręce sytych  
uśmiechów ani portfeli.

— — — Ręce nie krzyczą.  
I choć już nieme, wciąż stają się cichsze  
— jak przez uliczników  
ślepe szczeniaki utopione w Wiśle.

Milczą... Tnie deszcz  
po rękach — po ruinach z 1939  
— to tu, w ruinie dzisiaj bezdomnej, przed wrześniem  
była redakcja. Pisali. Pisali: „Rząd R. P. obywatelowi zapewni!..“



# W Y P O W I E D Z I

Józefa Witowska

## Jest sposób na inny w świecie ład...



Józefa Witowska

Urodziłam się w miasteczku, gdzie mój ojciec był robotnikiem w browarze. Właściciel tego browaru miał jedno. Często dużo ziemi, więc nazywano go dziedzicem. Chodził on stale z psem i kijem, sam o czwartej budził ludzi. Całowali go w rękę nie tylko mężczyźni, lecz i kobiety, noszące mężom obiady. Jeżeli zaś która udała, że go nie widzi — podchodził, uderzał laską w plecy i mówił:

— Co, mordę ci zapieczetowano, oslepiłaś?

Spotkało to i moją matkę. Ojciec, uderzony przez dziedzica pokłócił się z nim i już nie wrócił do pracy w browarze. Dziedziczka też nie była lepsza. Za ładą przewinienie brała pokojową za włosy i tłukła głową o ścianę — nieraz do nieprzytomności. Byłam u niej jakiś czas do dzieci, to widziałam i sama doznałam jej ręki.

Po śmierci ojca (umarł, gdy miałam siedem lat) służyłam u pewnej urzędniczki, która mnie głodziła przy swej pobożności. Chleb był zawsze suchy, resztki po jej dzieciach, zaś do zup i kawy dolewała mi wody. Dla lepszych figur z miasteczka, jak ksiądz i nauczyciel, było jednak wszystko na prozonym podwieczorku. Pani ta, gdy zobaczyła u mnie książeczkę z bajkami, wyrwała mi ją, mówiąc, że to nie dla mnie zajecie. Zazdrościłam wówczas koleżance, której pani, Żydówka, nie tylko nie broniła czytać, ale sama ją uczyła. Moja pani nie pozwoliła mi z tą koleżanką rozmawiać, gdyż to „żydowska służba”.

Zachorowawszy na anemię byłam potem jakiś czas w szpitalu, pomagałam w kuchni. Dla Sióstr tam było wszystko lepsze, miały desery, zaś chorzy i służba — krupnik, zalewajkę. Nie lepiej też działo się w przytułku dla starców, na koloniach

dla biednych dzieci. Dla Sióstr były kurczaki, duszone jarzyny w maśle, buliony i kakao, jajka, dla dzieci — kakao z mąką kartoflaną, miast jajek do klusek — szafran... Starcom w przytułku kraszono tylko skwarkami, Siostry za to wypiekały dla siebie ciastka na smalcu, choć przydziały dla wszystkich były równe. Gdy jedna z pracownic miała przy sobie dziecko, musiała je żywić z własnej porcji.

Myślałam, że mnie zbuduje służba u księdza, do którego trafiłam później. Ksiądz sam by uszedł, coż, gdy był w szponach prościuchy — gospodyni, odbierającej mu każdy grosz, by posłać swej rodzinie. Zaś wujek księdza, który go wykształcił, gdy pozostał bez pracy z żoną — jak przyszedł pieszo do wychowanka, tak odszedł z niczym. Ksiądz tę gospodynię nazywał ciocią, lecz przekonałam się z bliska, że nie była ciocią.

Zawiódłszy się na ludziach „pobożnych”, myślałam, że adwokat, jako obrońca pokrzywdzonych wzmocni moją wiarę w ludzi, tym bardziej, że rodzina była niby religijna. Niestety sam pan adwokat okazał się pajakiem — dopóty prowadził sprawę, aż klient odszedł z niczym. Żona była godną jego przy swej oficjalnej pobożności. Nawet mnie zasług urwali, gdyż coś z bielizny przy mnie im „zginęło”. Szło oczywiście o pozór, by nie wypłać. Tak postępowali z każdą. Skarżyć zaś adwokata, u którego na kolacjach bywali sędziowie, to byłaby historia bez końca i koszt większy, niż kilka pensji.

Na koniec się dostałam — było to także już w Warszawie niedawno przed wojną — do ministra... Sam minister w swych biurach był dla ludzi niedostępny, zaś gdy pewna pani trafiła za nim do mieszkania — też nie chciał z nią rozmawiać. Odeszła z placem od progu. Minister tymczasem w mieszkaniu pieścił psa. Protekcji nie uznawał, chyba, że... dla najbliższej rodziny. Nie widziałam u nich żadnej nowej książki, prócz tych, jakie autorzy przysyłali z dedykacją, ale tych również nie czytano, chyba, że była sensacja. Pannie ministrowe, gdy się zeszły przy herbatce, zajmowały się wysmiewaniem wad swych służących i omawianiem przyjęć w ambasadach. To było wszystko, czym się interesowały. Byłam zmuszona gardzić nimi w duchu, w ogóle ludźmi, których poznałam. Wszystko w nich przeczyło ich „powołaniom”; za nic mieli rzeczywistych ludzi pracy. Najlepiej czułam się u wzgardzonych Żydów i w prawosławnej rodzinie, a nawet u bezwyznaniowych, z czego doszłam do wniosku, że nie religia i bogactwo, ale coś innego musi zmienić ludzi, by nie byli, czym są — uświęconymi przez samych siebie złodziejami. Stwierdzenie tej odrażającej prawdy popchnęło mnie do pisania i podzielenia się z innymi doświadczeniem. Trzeba tak radzić, by nie było obłudy, dobrobytu tylko dla jednostek. Bo istnieją ludzie sprawiedliwi i sposób na inny w świecie ład.

Awansem społecznym dla biedaków było przedarcie się do klasy posiadaczy. Klasa zamożnych dawała im pozycję i egzystencję w formie posagu, czyli tzw. wianie. Mój „podegrodzki matac”, syn małorolnego stara się drogą oszustwa połączyć węzeł małżeński z córką bogacza. W tym celu zamilcza o reszcie swego rodu, któremu drogą dziedziczenia przypada podzielone na części małorolne gospodarstwo. Sam przedstawia się za jeźdźnika, czyli gra komedię małorolnego, ale wyłącznego dziedzica.

Dlaczego to czyni? Zabiegając o własną egzystencję ulega kapitalistycznemu wzorowi „ożenku z morgami”. Dopiero takie małżeństwo wydaje się jemu małżeństwem. Tu jest obrzęd i sakrament. Kościół stoi „w drugiej linii”. On tylko uświęca taki właśnie gospodarczy związek. Ale po ślubie odsłania się prawda. Bogacz, który dowiaduje się o oszustwie, wydzie-dzicza córkę. Teraz nowożeńcy mają tylko cztery ręce do pracy, jako źródło utrzymania pozostaje im tylko praca na jemu na bogaczy.

Taka opowieść obyczajowa może dziś dla walczącej wsi drobno- i średniorolnych mieć wymowę. Wykazuje niedorzeczność awansu społecznego przez „wyskakiwanie” do klasy posiadaczy. Uwalnia od iluzji kapitalistycznej, jaką obrosło tradycyjne małżeństwo chłopskie. Uczy widzieć nieprawdę, do jakiego doprowadziła kapitalistyczna wizja „towarowych” stosunków między ludźmi. Wzór ożenku z morgami zabija w człowieku jego człowieczeństwo. W półproletariackiej doli jest szansa na człowieczeństwo, które kapitalizm zabija u tych, którzy go tworzą, którzy na nim zyskują. Zdobyć w małżeństwie może być dobór i wzajemne zrozumienie, przekreślone u kulaków morgami.

I tu, w tym innym małżeństwie tkwi klasowe przeciwieństwo. Tkwi siła do walki z porządkiem morgowym.

W „Porachunkach pod jabłonią”, pokazałam młodą dziewczynę, która umie z tradycji przeszłości chłopskiej wyciągnąć naukę postępową, umie się z tą tradycją zjednoczyć w tym, w czym ona wyrażała walkę klasową.

Sąsiedzi słuchają gądkę o parobku u gązdy, bawiąc się „niepoczytalnie” zuchwałym postępowaniem parobka na spowiedzi. Moja bohaterka, młoda dziewczyna, która zakochała się w bolszewiku-komuniście, jak go zwą na wsi (przedwojennej), w „niepoczytalności” parobka



Maria Kościńska

widzi walkę z krzywdą społeczną. Ona jedna wnika w mądrość dziadka, który sam stracił wiarę w lepszą przyszłość, ale przekazuje prawdę o walce i pętach biednych chłopów.

Ona kocha nową istotę społeczną — swego „bolszewika”. I jest w walce. Brat tłucze ją za miłość do „bolszewika”, broni honoru domu przed „obrazą boską”. To on wyciąga dziadka na gadki i słucha ich w rezultacie jako opowieści przedstawiającej przegraną parobka. Jak to bywało? Bywało, że przegrywał biedny chłop. To słyszy, to rozumie i dlatego czuły jest na opinię parafialną, która bije w „bolszewika”, potępia zatem również jego istotę. On się zamienia na „domowego plebana”. Chce niepoczytalną przywieść do opamiętania. Ale w tej samej opowieści dziadkowie jest zarzewie walki w danej wsi. Jest podnieta dla jego siostry.

W „Porachunkach pod jabłonią” pokazałam dwa skrzydła postępu i walki o sprawiedliwość społeczną. Jedno, które ma tradycję na wsi, ale które samodzielnie działając było bezsilne — i drugie, które szło w pomoc wsi z zewnątrz, od klasy robotniczej, od „bolszewików-komunistów”, jedyne, posiadające moc wskrzesić chłopską tradycję walki i dać jej w sojuszu siłę zwycięskiej walki na wsi z kulactwem, z kapitalistycznymi formami porządku parafialno-klienckiego z drobnomieszczańską obyczajowością i kulturą.

Józef Pogon

## W pochodzie proletariatu wiejskiego



Józef Pogon

dukowanych przez siebie kul, lecz nie ustawiali w ciężkiej walce i coraz liczniej skupiali się pod Czerwonym Sztandarem.

Osobiście nie brałam udziału w pochodach Pierwszo-Majowych z tej prostej przyczyny, iż nie byłam robotnikiem, bo roboty nigdzie nie dostałam, jak również nie miałam na półście do miasta odpowiedniego ubrania i butów. Wlokłam się natomiast bezustannie w innym pochodzie — w pochodzie proletariatu wiejskiego, który nie mniej był dławiony od robotnika fabrycznego. Wlokłam się głodny i obstrzępiony w pochodzie z kosą i cepem za groszem po okolicznych dworach, do bogaczy wyciskających pot z nędzarza-najemnika...

Wprawdzie ten mój „pochód” życiowy nie obfitował w zdarzenia w szerszym świecie — obfitował natomiast w przeróżne doświadczenia na tle wzajemnego ustosunkowania się między bogatszymi a biedotą. Tym bardziej, iż jako człek zbyt „ruchliwy”, za wszelką cenę pragnący utrzymać się na równi życiowej — jako nędzarz znalazłem się na skraju skrzyż-dła jednego z tych „obozów”. To moje umiejscowienie fizyczne przy silnej pobudliwości umysłowej postawiło mnie w roli potajemnego obserwatora tych spraw wiejskiego życia, których normalnie żyjący człowiek nie potrafiłby zaobserwować. Miałem więc możliwość nie tylko poznawania panującego wśród ludzi zła, ale i częściowego wnika-nia w przyczyny zła. Nad każdą, nawet mniej ważną sprawą zastanawiałem się głęboko, rozmyślałem, przetrawiałem w

Maria Kościńska

## Obyczajowa tematyka

Moje próby pisarskie tematycznie najczęściej obejmują zagadnienia obyczajowe na wsi. Z tego zakresu były drukowane we „Wsi” fragmenty: „Na Wydarty” (z opowiadania „Niedziela na Wydarty”), „Podegrodzki matac” (z noweli pod tym samym tytułem), „Porachunki pod jabłonią” (rozdział z opowieści).

„Niedziela na Wydarty” — to tok przedwojennego dnia niedzielnego na wsi, z tym, że ten świąteczny dzień jest wypełniony przed południem — kościelnymi nabożeństwami, po południu — pogawędkami.

Pogawędki te ograniczają się najczęściej do zakresu spraw głęboko zakorzenionych w zabobonie religijnym.

Nawet szersza, ale jak niepowszechna i o jakiej treści, oświata nie potrafiła usunąć radykalnie przesądów mających źródło w zabobonie i magii religijnej. Z zakorzenionym głęboko zabobonem jest

trudna i ciężka walka. Przedstawiająca zmienność nadprzyrodzonych sił w życiu praktycznym satyryczna forma pisarska wydała mi się środkiem dość skutecznym i trafnym. Śmiech bowiem z tego, co przedtem budziło kult i strach, uwalnia od chorobliwego niepokoju i ślepej wiary, skoro wprowadza zrozumienie własnej niedorzeczności.

W „Podegrodzkim matacu” — skompromitowałam wzór małżeństwa gospodarczego sprzed wojny. Awansem społecznym dla wyrobniaka, dla drobnorolnego, a nawet dla średniego jest ożenek z dziewczyną ze środowiska bogaczy wiejskich. Przez powinowactwo przekracza on przepaść dzielącą go od bogaczy.

Ponieważ w ustroju kapitalistycznym awans społeczny przez indywidualne wy-bicie się zdolnościami, pracą, itp. był ograniczony niesłychanie, najemnicy wiejscy szukali również awansu w koligacjach z klasą zamożnych (oczywiście był on rza-

lekroć pomyślę o Pierwszo-Majowych pochodach robotników, zawsze przypominam mi się wypłute jadłem jedno zdanie z przedwojennego artykułu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”: „...Socjaliści wystawili czerwoną płachtę...”. Ta więc „czerwona płachta” i manifestujące rzesze robotników służyły gnębicielom ludu za strzelniczą tarczę w rozgrywkach nieustannej walki o zatrzymanie starego porządku świata z jednej strony, a wywalczenie nowego — z drugiej. Manifestanci padali często od wypro-



sobie, ubolewałem lub radowałem się, a często też słownie lub czynnie reagowałem. Nic to jednak nie pomagało — każde wystąpienie odwracało się ciosem we mnie, potęgując poprzedni ból. I znów dalsze „ropienie wrzodu”, znów dalsze szarpanie się w sidłach i tak bez przerwy.

Będąc obserwatorem, a zarazem i celem wszelakiego poniżenia, pogardy, wyzysku i krzywdy — przyznam się z pełnym zażenowaniem, iż gdzieś od roku 1933 wraz z innymi biedakami wyciekiwałem wojny, jakiegoś wstrząsu światowego i radowałem się z każdego konfliktu międzynarodowego.

Doznawane poniżenie i krzywdy biedoty początkowo wzbudzały we mnie oburzenie na poszczególnych krzywdzicieli. Ale stopniowo pod wpływem częściowego czytania pism, książek i stałych rozmyślań, dochodziłem do wniosku, iż nawet te bardziej jaskrawe, sporadyczne krzywdy biedoty nie są tylko samym wynikiem zachłanności ludzkiej natury bogatszych. Uprzysamniałem sobie, że gdyby np. mój ojciec miał dwór, tak samo gnębiłby swą służbę jak wszyscy dziedzice..., że bogactwo nie są wcale gorsi od biedaków, tylko wykorzystują prawa złego ustroju spo-

łecznego. Nawet poszczególne, ostrzejsze pokrzywdzenie biedaka tłumaczyłem sobie nie jakimś złodziejskim charakterem bogacza, tylko jakby wyladowaniem jego wyższości materialnej nad „dziadem”: — „Nie zapłacę ci, bo mi się tak podoba, bo co ja — to nie ty... Sprzedaj dziadu, starą portkę i sądź się ze mną...”

W takiej sytuacji życiowej, w takim oglądzie wiejskiego życia oczywiście potęgował się we mnie tylko bunt przeciwko panującemu porządkowi. I stopniowo w miarę kształtowania się mej świadomości życiowej, ten właśnie bunt podsuwał mi stale myśl przelania na papier stosunków wiejskiego życia. Nic przeto dziwnego, że już pierwsze moje utwory „nagrane” były tym buntem. Przede wszystkim w piśmie socjalistycznym „Chłopska Prawda” mogłem się choć częściowo wypowiadać. Dziś, po dziesięciu latach, przypominają mi się niektóre zwrotki nieudolnych, lecz mających swą wymowę moich dawnych wierszy:

„Gwiazda światłości z snu narody  
budzi,  
Już zaczyna świecić blaskiem jasna  
zorza.

Hymn zwycięstwa brzmi: „powstańcie  
zgębieni,  
Wszak wy jesteście nie zwierzęta,  
lecz ludzie.  
Wyście stworzeni także ręką bożą,  
Ktoż was więc w wyjące upiory  
zamienił?!“  
(„Dzwon Wolności”)

Albo:  
„Luny pożarów, ucisku w twym blasku  
muszą zginąć,  
Już chłop z robotnikiem są tego dnia  
blisko  
Gdy Sztandar Wolności rozwiną...”

I dziś, choć wiem, iż to nie była żadna poezja, że to były nieudolne, nieoszlifowane wypowiedzi polityczne — nie wstydzę się tego przypomnieć, gdyż to miało swej sens i wymowę buntującego się wiejskiego nędzarza. Także i satyryczne felietony „nagrane” były owym kipiącym we mnie buntem. („Łączmy się pod Czerwonym Sztandarem”, „Dziwne spotkanie” i inne).

Buntem na proletariackiej „niwie” kielkowała moje pisanie, więc też i w dalszym powolnym rozwoju takie pozostało, choć nieco w innej, bardziej plastycznej for-

mie. Krytyk literacki Kol. Stefan Lichański dziwił się mocno, iż „mimo tak surowych, po prostu okrutnych postaci bogaczy w „Ugorach” — w konsekwencji wychodzi z bogacza człowiek, „a nie bydlę”. Trafne to spostrzeżenie dowodzi dobitnie, że jeszcze przed pisaniem książki buntowałem się nie przeciwko człowiekowi, lecz przeciwko złu, jakie ten człowiek w złym ustroju wytwarza. Potwierdza to jeszcze brak w moich opowiadaniach wątków ludowo-obyczajowych, których z taką lubością trzymają się inni pisarze wiejscy. Nic dziwnego — czym się kto delectował, to i piórem utrwalał. Ja się niczym nie delectowałem, ja się tylko szarpałem w sidłach i buntowałem.

Oprócz beletrystyki, zajmuję się sporo publicystyką. Obraz zróżnicowania społecznego przedwojennej wsi oglądałem bezustannie przez całe życie, byłem na jego tle jednym z milionowych czarnych „punkcików”, byłem „kropką na tarczy” tej „czerwonej, socjalistycznej plachty” — dlatego też i dziś z pozycji proletariusza i pisarza zarazem — pragnę podwoić swe wysiłki do dalszej walki z pozostałymi resztkami wyzysku pracujących mas i do budowy lepszej przyszłości Narodu.

Józef Pogan

Jürgen Kuczyński

## DWIE NAUKI — DWA ŚWIATY \*)

I  
Świat dzieli się dziś pod względem gospodarczym i społecznym na dwa obozy: obóz postępu i obóz monopolu kapitalistycznych. W jednym z tych obozów obserwujemy świadomy, planowy rozwój, w drugim zaś anarchię i rozprężenie, na tle których jeszcze straszliwiej działają takie przypadkowe decyzje na określone akcje, jak np. przygotowanie nowej wojny światowej.

Mamy dzisiaj, jak w każdym okresie przejściowym, dwa rodzaje nauki: jeden — to nauka klasy panującej, drugi — nauka klasy, która prze do władzy i która w jednej części świata władzę tę zdobyła. Każda młoda klasa — stwierdza historia — która dochodzi do władzy, niesie za sobą dalszy postęp na drodze wszechstronnego rozwoju ludzkości, między innymi: na drodze poznania naukowego. Tak samo więc i zwycięstwo klasy robotniczej. Oznacza ono w dziedzinie wiedzy o świecie zwycięstwo właściwej i szerszej nauki. Jest w tym jednakże przede wszystkim pewna różnica. Tak, jak zdobycie władzy przez klasę robotniczą prowadzi do opanowania mas pracujących, a co za tym idzie — kładzie po pewnym czasie kres wszelkim walkom klasowym, tak samo nauka klasy robotniczej, marksizm-leninizm, kładzie fundamenty pod pełne zrozumienie i opanowanie rzeczywistości przez naukę.

Obserwujemy jednak podwójne zjawisko. Z jednej strony klasa dochodząca do władzy rozwija na drodze postępu społeczeństwo i naukę; z drugiej — wraz z upadaniem klasy przyzwyczajonej się — następuje również upadek jej nauki.

Zjawisko to obserwujemy dziś w świetle kapitalistycznym i dlatego to mamy w dziedzinie ekonomii dwa rodzaje nauki: burżuazyjną, która poznaje tylko część rzeczywistości — i tę część również tylko częściowo — i socjalistyczną, marksistowsko-leninowską, która zaczyna obejmować całokształt rzeczywistości. Pierwsza, niezdolna do dalszego rozwoju, przegrana, pogrążona w zamęcie, coraz bardziej bezzilna, przeżyta i dlatego już właściwie martwa — przeciwstawia się drugiej — żywej.

### II

Tymi dwoma zasadniczymi kierunkami spróchniałej burżuazyjnej ekonomii są: anglo-amerykański instytucjonalizm oraz jej niemiecki odpowiednik — teoria o niezdolności do osądu wartości nauki, i szkoła Keynesa ze swymi licznymi zwolennikami we wszystkich kapitalistycznych krajach świata.

W Niemczech najpopularniejsza jest teoria niewartościowania. Głównym jej reprezentantem na gruncie filozofii był Rickert, a na gruncie ekonomii politycznej — Max Weber.

Teoria ta głosi, że zadaniem wiedzy jest jedynie gromadzenie faktów, a bynajmniej nie wydawanie sądów wartościujących. Oznacza ona wyrzeczenie się przez naukę roli nauczyciela i współpracownika w dziele opanowania rzeczywistości. Teoria taka jest dowodem jawnego bankructwa. Reprezentuje ona równocześnie i skrajne, przesadne pojęcie o swobodzie nauczania i oficjalnie otwiera anarchię, panującą w życiu gospodarczym, furtę do królestwa myśli.

Według tej teorii zadaniem uczonego jest przedstawianie rozmaitych systemów ekonomicznych, łącznie z systemem monopolistycz-

no-faszystowskim, bez oceny wartości — sina ira et studio — i pozostawienie studentowi lub czytelnikowi wybranie systemu, który mu odpowiada i którego urzeczywistnienie pragnąłby widzieć. Wiedza zajmuje stanowisko amoralne i izoluje się od systemu gospodarczego, w którym tkwi.

Ale właśnie przez to staje się pacholkiem panującego systemu, który obecnie nosi miano imperializmu i monopolistycznego kapitalizmu. Przez sam fakt, że profesor uniwersytetu, uczony, wstrzymuje się za każdym razem od sądu wartościującego i w ogóle od wszelkiej krytyki, sędzią wartości różnych systemów gospodarczych staje się materialna przemoc panującej sytuacji. Uczony zasklepia się w absenteizmie i zostawia swych uczniów na pastwę wyłącznie wpływu sił nienaukowych. Uczony okazuje się niekompetentny, jeśli idzie o wszystkie zasadnicze zagadnienia dotyczące życia ludzkiego, degradując tym samym siebie i naukę.

Równoległym zjawiskiem do tej „teorii nauki” jest w anglo-amerykańskich krajach tzw. instytucjonalizm, którego głównym reprezentantem po śmierci Johna R. Commonsa jest obecnie W. C. Mitchel ze swym osławionym National Bureau of Economic Research w Nowym Jorku. Mitchel zyskał światową sławę dzięki swym badaniom poświęconym cyklom koniunkturalnym. W toku tych badań oddeganiwa się coraz wyraźniej od ambicji ustalenia jakichkolwiek praw rządzących rozwojem gospodarczym. Niejednokrotnie wyrażał on i jego szkoła zdanie, iż jakiegokolwiek bądź poglądy ludzkie nie posiadają wpływu na życie i że systemu posiadającego zdolność praktycznego oddziaływania umysł ludzki nie stworzy. Jako wyłączne zadanie postuluje zebranie materiału. Czy ten materiał wiedzie do ostatecznego prawdziwego wniosku naukowego, trudno stwierdzić. Ten punkt widzenia charakteryzuje doskonale nauka niemieckich rewizjonistycznych socjaldemokratów. Tak formułuje go Bernstein: „Cel jest mi obojętny, ruch jest dla mnie wszystkim” — lub, że użyję tu słów Mitchela — „System jest mi obojętny, fakty i liczba są dla mnie wszystkim”.

A więc i tu także spotykamy się z mało-dusznym odwrotem nauki: wyrzeczenie się swych właściwych obowiązków rozumienia rzeczywistości w jej związkach i praw rządzących przemianami. Ta „teoria nauki” jest także przez monopolistycznych kapitalistów mile widziana, zwłaszcza, że ci zgadzają się w tym wypadku świetnie z Napoleonem: bez liczb, bez statystyki, trudno jest panować. Najłatwiej jednak jest panować, jeśli liczby te zestawiają niewolnicy, którzy sami nie mogą ogarnąć sensu swej pracy.

W okresie upadku kapitalizmu, w okresie kapitalizmu monopolistycznego, nauka spełnia samobójstwo, ponieważ okazała się niezdolna uczynić cośkolwiek, aby świat zrozumieć i zmienić.

### \*

Keynes natomiast staje na gruncie faktów społecznych i poznaje działanie praw. Ostatnie jego badania pozwalają mu stwierdzić, że istotnie przeżywamy fazę wielkiego bezrobocia i przynajmniej również, że jest to stan rozpaczyliwy i nawet znalazł opatentowany środek na zapobieżenie temu zjawiskowi: monopolistyczny kapitalizm należy zreformować. „Reforma” ta polegać ma na zreformowaniu plac robotników. Keynes stwierdza mianowicie, że bezrobocie wzrasta wraz ze wzrostem płacy realnej, co wprawdzie zaprzecza faktycznemu stanowi rzeczy, ale pozwala jednocześnie na dość wygodne rozwiązanie problemu. Gdy

przyjmuje się mianowicie, że bezrobocie wzrasta w skutek wzrostu płac, stąd przecież już jasny wniosek, że będzie ono malało przy obniżce płac. Tym więc opatentowanym środkiem do zwalczania bezrobocia jest po prostu obniżenie płac.

Najznakomitsza uczennica Keynesa pani Joan Robinson „pogłębiła” jeszcze bardziej tę naukę. Zbadała mianowicie „dokładnie” zależność między wzrostem płac a wzrostem bezrobocia. Tu wziął swój początek ów pogląd panujący na uniwersytetach Anglii, Ameryki i gdzieindziej jeszcze, np. Zachodnich Niemiec, że kiedy tylko bezrobocie jest dostatecznie duże, zabezpieczonym jest się od zbyt wysokich płac, i przez to niebezpieczeństwo zbyt wielkiego bezrobocia zostaje zażegnane. Należy przeto największe bezrobocie zwalczać wielkim bezrobociem.

To znaczy, że druga wielka szkoła dzisiejszej ekonomii politycznej stawia przed zainteresowanymi zagadnieniem usunięcia bezrobocia alternatywę Keynesa: Wysokie bezrobocie lub obniżenie stopy życiowej, i alternatywę p. Robinson: Wysokie bezrobocie albo jeszcze wyższe bezrobocie.

Łatwo dostrzec, że także i ta szkoła jest dowodem degeneracji nauki: jej niemoralność, brak zainteresowania się położeniem ludzi pracy, pogarda dla ich życia, które tylko nauka burżuazyjna w końcowym okresie swego upadku przynieść może.

### III

Doświadczenie ostatnich 30 lat wykazało, że w Związku Radzieckim miejsce gospodarcej anarchii i bezzadania zajęła planowa organizacja, planowa odbudowa życia gospodarczego. W miejsce burżuazyjnej nauki przyszła ekonomia klasy robotniczej, marksizmu-leninizmu, przy której pomocy odbudowa postępuje stale.

Radziecki ekonomista uważa za swój obowiązek przeprowadzić wartościowanie, ze względu na społeczną użyteczność danej koncepcji, uważa za swój obowiązek osądzić, czy pewne analizowane przezeń fakty winny się powtórzyć, czy też należy się starać, by więcej się nie powtarzały. Kieruje się w tym postępowaniu ambicją społeczną, którą musi mieć każdy uczonego, ambicją wpływania na bieg historii, przekształcania systemu społecznego. O niechęci do wartościowania i systematyzowania poznania nie może być mowy, choćby z tego względu, że marksistowsko-leninowska ekonomia polityczna buduje na rzeczywistości, która podlega przemianom zgodnym z prawami nią rządzącymi, że marksistowsko-leninowski ekonomista poznał, że praca rządząca rozwojem społecznym dadzą się przez ludzi zmieniać.

Dlatego to dla ekonomisty w Związku Radzieckim nie wchodzi w ogóle w rachubę postawa i rezultat nowych rozważań, jak to ma miejsce w szkole Keynesa. Gdyby radziecki ekonomista na podstawie swych spostrzeżeń i rozważań doszedł przypadkowo do wniosku, jak ci ze szkoły Keynesa, że robotnicy zmuszeni są wybierać pomiędzy dwoma pogorszeniami swych warunków materialnych, wówczas powiedziałby sobie, że albo wszedł w swych rozważaniach na niewłaściwą drogę, albo, że nie rozumiał wcale roztrząsanych przezeń problemów i, że w obu tych wypadkach spostrzeżenia jego są błędne. Radziecki ekonomista wychodzi z założenia, że jego naukowym zadaniem jest znaleźć środki do jak najszybszego polepszenia warunków życia mas pracujących, ponieważ w rzeczywistości gospodarczej istnieją szanse na takie polepszenie. Na tej podstawie radziecki ekonomista rozwiązał m. in. problem likwidacji bezrobocia przy równoczesnej wyższej płacy realnej —

mianowicie przez planową odbudowę gospodarczą według wskazań socjalizmu.

### \*

Ponieważ rzeczywistość w jej całokształcie ogarnąć może tylko marksizm-leninizm, więc ten system ekonomiczny jest jedyny, którego rzeczywistość nigdy nie zaskoczy i nie obali. System ten jest także i dlatego jedyny i najwłaściwszy, że rzeczywistość może być zmieniona tylko dzięki planowaniu. — Przykładem olbrzymich możliwości planowego przekształcania rzeczywistości jest historia Związku Radzieckiego na przestrzeni ostatnich 30 lat.

Wniosek stąd jasny — marksistowsko-leninowska nauka jest jedyną prawdziwą, swobodną nauką. Ponieważ należycie poznaje rzeczywistość, może więc swobodnie zdecydować — naturalnie w granicach biologicznych i społecznych możliwości — w jaki sposób rzeczywistość powinna być zmieniona. Burżuazyjni uczone tkwią w niewoli tego, co nazywa przypadkiem, nieprawidłowością, niespodziewanym zjawiskiem itp., a co właściwie nie jest niczym innym, jak tylko niezrozumieniem samej rzeczywistości.

Wolność nauki w tym sensie, prawdziwa swoboda, która jest jedyną drogą do opanowania rzeczywistości, oznacza także, że inicjatywa w kształtowaniu dziejów historycznych coraz bardziej przechodzi w ręce uczonego, że on tworzy historię, a nie, że w najlepszym razie interpretuje ją tylko, a ta go właściwie tworzy.

Mówiąc na wstępie, że radziecka nauka odzwierciedla gospodarcze i społeczne stosunki, chcieliśmy powiedzieć, że jako wolna nauka, taka, jaką znajdujemy w Związku Radzieckim, rozwijać się może tylko w atmosferze socjalizmu. Socjalizm jest podstawą każdej wolnej nauki. I w warunkach, które on tworzy, rzeczywistość stawiać się będzie coraz wierniejszym odbiciem naukowej polityki, i politycznej nauki, ponieważ w socjalistycznym ustroju prym wiodą ludzie, rozumiejący rzeczywistość, ale nie rzeczywistość, która zaskakuje i ujarzmia człowieka.

W NUMERZE 16—17 (195—196) tyg. „WIES”, z dn. 17—24 kwietnia 49 r.

Natalia Gasiorowska — Wobec Międzynarodowego Kongresu Pokoju; Kazimierz Piwarski — Słusna sprawa zwycięży; Zygmunt Myslakowski — Ludzie Pokoju; Dymitr Szostakowicz — By zjednoczyć nasze wysiłki; Jakub Litwin — Siła Pokoju; Jan Nagrabiecki — wiersz; Maria Janion — Powieść o chłopskim buntowniku; Jan Zacharyasiewicz — „Lisy i Pasowska”; Tadeusz Orlewicz — Pierwszy kwartał 1949 r.; Israel Epstein — Chińskie drzeworyty orężem w walce (tłum. Edward Martuszewski); Kazimierz Piwarski — Pakt Atlantyczny a Karta ONZ; Maksym Gorkij — Na dnie — tłum. Anna Kamińska i Jan Spiewak; Jan Czarny — wiersz; Zbigniew Stolarek — wiersz; Paul Vaillant-Couturier — O jednego kulisa więcej — Przekład autoryzowany Marii Straszewskiej i Ludwika Rene; Maria Kościńska — Porachunki pod jabłonią; Władysław Blachut — Głos ludu w jego pieśniach; Emilia Sukertowa-Biedrawina — O zbieraniu mazurskich legend, bajek i gadek; Erwin Cichowski — Wesołe opowiadania z Mazur; Ignacy Kowalezyk — Miasteczko; A. Woźniesieński — Szkoła radziecka i jej zadania — tłum. K. Kaweck; Wiesław Jazdyński — Jeszcze jeden przodownik; Krzysztof Sławiński — Nad „Chłopską drogą”; Józef Pogan — Parafialna trutka; Józef Kapuściński — Młodym lekarzom pod rozwagę; Michał Rekas — Wyższe studia korespondencyjne; Fakty i zdarzenia; 24 ilustracje; 16 stron.

\*) „Aufbau” zes. II, 1949 (fragmenty).



Władysław Kowalski

# Dramaty na miarę Szekspira

(Fragment nowej powieści p. t. „Wino“)

— A, niby o co się obrazik? — rzucił nauczyciel.

— A no o co! — odparł Wiewiór. — Jak pan kupił sobie te broszurki od Gracusia i miał je czytać chłopom, chciałem panu wytłumaczyć, że naraził się pan chłopom, chłopci nie będą panu ufać, będzie pan żył jak pustelnik, a panowie mają rząd, dadzą sobie z panem radę i... —

— Opiliście się dziadku i plecie wam się — wtrącił nauczyciel, wygaszając cały arsenał moralistów na temat pijanstwa.

— A co! — mlasnął smakowicie wargami, gdy nauczyciel skończył. Nagadał mi pan! Ale ja się o to nie obrażę, jak pan na mnie, chociażem panu ani słówkiem nie ubliżył. Niechże mi pan choć tyle powie bez obrazu, czy już pan skończył tę zieloną broszurkę, w której pisze o Pawle Wartaku i Michale Dragiewicz z Chojnar?

— A wy skąd o tym wiecie? — zdziwił się nauczyciel.

— O, skąd! — zaśmiał się Wiewiór. To przecie stare, jak świat. A przecie te Chojny to tu — wskazał ręką na północ — może cztery kilometry od Mianowa. Kto by o tych kulisach chińskich, bo tak nazywają Wartaka i Dragiewicza, nie wiedział. Chciałem to panu od razu wykładować, ale nie pozwolił pan. To choć teraz, kiedy pan już tu ma nie być, proszę cierpliwie wysłuchać. Bo i po co pan ma być tym świstunem, co ludziom różne bajdy klepie.

— Ja się stąd nigdzie nie wybieram — rzekł nauczyciel starotko.

— Ale inni pana już stąd wybrali — oświadczył Wiewiór. Ma pan uczyć w Mostach, aż na drugim końcu powiatu.

— Kto wam to mówił?

— A te świnię, com się z nimi opili. Dawny wójt i inni. Takie bydło, co to podlizuje się panom i zawczasu wie o wszystkim, co się gdzie ma stać. Już wywłachali, że przenosił pana do Mostów. I da pan wiarę, że sprytnie panu wymyślili tę wieś Mosty? Pan ma ochotę do tego byle gadulstwa, to tam długo by się pan w kółko kręcił i nie widziałby pan, że wiele z pustego w próżne.

— Czy tu coś się dzieje! — zawołał nauczyciel. Marysia nic mi nie mówiła.

— Bo się pana wstydy i boi się powiedzieć — odparł Wiewiór. — Pan wcale nie zna chłopów, to mógłby pan zaraz pomyśleć, że chłopci to same świnię, jak na pewno teraz pan myśli, że są sami głupcy. A ja według pana jestem pierwszy duren. I nie dziwnego, bo tak każdy myśli, kto na moją kapocinę spojrzę. Duren że mnie, aż miło. Tak nas i w książkach opisują.

Wy czytacie książki? — zapytał zdziwiony nauczyciel. Wstał, przedepnął nerwowo w miejscu i siadł z powrotem.

— Szymek Kometa tak mówi — odparł zmieszany Wiewiór. Spojrzał nie zdecydowanie w zakłopotane oczy nauczyciela i wypalił: — Czy da pan wiarę, że wtedy, co pan wracał z Podprad, mnie wójt posłał, żeby pana odprowadzić, bo nie chciał przy panu targować się z chłopami, gdy żądał od nich, aby milczeli przy tym sanacyjnym poście i nie przeszkadzali mu?

— Co takiego? — krzyknął nauczyciel, podrywając się.

— Niech pan siada! rozkazał szeptem i rzutem obydwoh rąk Wiewiór. — Krzyczy pan, jeszcze Nabelak usłyszy, albo Marysia, przyjdzie kto, a ja wolę tak... we dwóch.

Nauczyciel sięgnął do kieszeni o papierosnicę i zapalił. Wiewiór uniósł się z krzesła, odgarnął w tył kapocinę i siadł wygodnie. Mówił półgłosem.

— Kometa, powiada, bo ja to tam do drukowanego małym zaglądał, mało się na tym znam. Ale pan jest ze szlachty, to pan musi wiedzieć, czy to prawda, czy nie. To powiada ten Szymek, że panowie piszą o nas bajki dla zabawy. Jak, powiada, najeżdża się i naplaja, to mają pragnienie dla duszy, powiada, że im to na sen dobrze robi. Diabli tam wiedzą po co im kłamstwo, bo ja wolę prawdę, ale im widać to służy, a pewno myślą, że to i nam smakuje. Posyłają tu tych świstaczy, żeby nam bajki opowiadali. Ale nam tam diabli po dobroci, z której mamy zdychać z zgłodu. Jak bym ja panu nie dał jeść, tylko śpiewanie, to będzie pan słuchał? Szymek nawet powiada, że to kiedyś było podobno dobre, jeno że się zestarzało, jak nie przymierzając, ta moja sukmanina, która tylko fasonu dodaje, że się na letniego nie idzie, ale co grzać to nie a nic nie grzeje. Drapał chwilę palcami po brzuchu, spod burego spencerka wyjrzał zgrzebną obrobę koszuli, nad uszami falowały z lekka bieluszkie kosmyki włosów.

Po chwili Wiewiór podjął rozmowę, mówiąc cichym, chropowatym głosem. — Kto biedny, ten i głupi. Tak było zawsze. Kto tu pomyśli, że ja mam choć ćwierć tego rozumu, co nasz pisarz w gminie? Pan sam w to nie wierzy. A tymczasem, panie, durnie we wsi omal wykończyli się za moich czasów. To, co jeszcze takiego zostało, to już lipa, psu na budę!

A kiedyś sam przecie czytywałem o królowej Sabie i wierzyłem w to jak wszyscy diabli, którzy mi się też po nocach snili, ażem się pocit ze strachu. Teraz już od jakichś piętnastu lat, a może i przeszło, nie widziałem biesa na oczu, śpiam spokojnie, nie boję się niczego, nawet śmierci, umierać wcale nie pragnę, a mam przecie dziewięćdziesiąt trzy lata. — Spojrzawszy w oczy nauczyciela, który przysiadł na krześle z przeciwnej strony stołu i dostrzegłszy w jego twarzy jakby zażenowanie, prążył dalej śmiało. — Panowie nawychowywali sobie takich głupków. Ta Igańska, co była dzisiaj pod borem, baba czy ma duże, jak nie przymierzając, kobyla, a źle widzi. Ja przez nią uciekłem do boru, bo nie chciałem słyszeć tego jej paplania, to uciekałem do boru i odkryłem to wyrzucanie bażantów z worków, żeby generał jak największej zastrzelili. Bo ona, ta Igańska, była u nas rok temu, kazała przedszkola dla dzieci zakładać. A sam pan widzi, czy jest w tym jakaś sens? Zrobili nam komasację, rozpędzili po świecie i co tu w takiej wsi można zrobić? Nic. Kto zechce tracić cztery godziny na to, żeby po tych wertepach dziecko odprowadzić i przyprowadzić? Ładne nam panowie zajęcie wyszukują, nie ma co! Mieliśmy nie tracić czasu na jazdę do miasta, a teraz biedak z trzema litrami mleka traci dwie godziny, a poniekąd nawet trzy godziny. Ale to lepiej, bo wielu oczy otworzyło na to, jak nas panowie kołują. O, ho, ho! — kręcił głową. — Czasu mamy dość, ale po co go tracić na błędy! Wolimy się zejść i pogadać o tych szwindlach, żeby nie oślepnąć, jak Wartak i Dragiewicz w Chojnach, co zawierzyli świstunom i chorują na taką ideę, że chcą koniecznie przekonać tych panów z miasta, że jak braknie folwarków na wsi, to smakolików panom z miasta nie braknie. — Głupie nie wiedzą o tym, że dziedzice i bogacze w miastach to jedna banda. — Syknął śmiechem. Po opanowaniu się starzec mówił żartobliwym tonem: — Wartak i Dragiewicz mają po terazniejszemu po trzy ha ziemi, liczą na to, że drugie tyle dostaną, jak przekonają panów w mieście. Dlatego opisują swój dochód, a panowie opisują ich, robią im sławę, ale nie wiedzą skąd się bierze dochód, bo tego w spisie nie ma. A przecie cóż by oni mogli lepszego wymyślić od swojego zięcia, który też ma trzy ha, haruje jak ten osioł, nie dośpi, lech mu pęka od myśli, a na włosne krowę musi podnosić za ogon, bo o własnych siłach wstać nie może. Uwierzy pan, czy nie uwierzy, pańska wola. Ale chcę panu rzec prawdę, aby się pan tam w tych Mostach nie płątał. To niech pan wie, że Wartak i Dragiewicz rzetelnie mają ten większy dochód, lecz ze słomy, plew i ściółki z boru, co nocą i za dnia, jak się da kradną, o czym nie piszą do tych panów z miasta, bo się wstydzą. Tak ich ci panowie tą ideą wyedukowali, że się wstydzą przyznać, jak się we wsi naprawdę żyje. Zamordowali siebie, dzieci, żony, bo po całych dniach zbierają zielska w polach, nie znają południa, ani święta. Żyją jak te bydłaki. Przez to ludzie nazywają ich chińskimi kulisami. A cóż oni mogą innego wyspekulować?

— Jeśli to prawda, co mówicie, tamci w Chojnach z głupoty kłamią, a wy mówicie, skąd więc kto ma prawdę wiedzieć? — rzekł nauczyciel.

— A, ba! Mamy nie milczeć, jak nas panowie uprzejmie o to proszą! — zawołał z burzeniem starzec. — Każą nam mówić tylko, co im się spodoba i co nam napiszą, za co nas strasznie kochają.

— A to uroczą sielankę — powiedział do siebie nauczyciel i wpatrując się w zacerwienione oczy Wiewióra rzekł: — Ja myślałem, że tu ludzie są niezdarzni, że w mieście są tylko szwindle i obłudą.

— Hm... niezdarzni — rzekł Wiewiór — Kto tylko z miasta na wieś popatrzy, każdy tak myśli, bo go łyki omamia, kradną nas ile wlezie, przez to mają nas za durniów. Ale Szymek powiada, że czasy ich wyszły i rychło będą musieli oddać, co nagrabili. Czują to, powiada, i dlatego umizgują się teraz do nas, żeby nas zmiać. Ale chyba teraz my ich omamimy, wyuczyliśmy się kręcić nie gorzej od nich, ani się spostrzegą, kiedy w nasze sidła wpadną. To będzie panie radość! Nie umrę, póki tego nie dożyję. Mówię a tym panu, bo wierzę, że pan z łykami nie będzie trzymał.

Słowo „trzymał” stary podkreślił tym spojrzeniem, w którym błakała się gorzka nadzieja i rezygnacja. Jakby chciał powiedzieć nauczycielowi: „Zbyttnio zaufałem ci, ale jeśli się pomyliłem, obejdzie się bez twej łaski”. — Opadł wzrokiem ku swoim kolonom, mówiąc sobie w duchu: — Co innego zamierowałem mówić, a co innego wyszło. Licho wie; dobrze, czy źle, że mu tak wywalił całą kapitułę? Jeżeli ożenił się z chłopką z powodu tego bzika, o którym Szymek powiada, że szlachta tego bzika przed wojną miała, aby sobie krew przez chłopską odnowić, to mu podjechał w sumienie... Narobiłem bigosu... Maryskę rzucił, co bierz ją diabli, dobrze by gdzie zrobić za ten jej ambicję. Lecz może cholera zdradzi! Napyskuje do swoich w mieście i zleca się tu, narobią rabanu...

Uniósłszy wzrok, starzec dostrzegł w oczach nauczyciela dziwne znaczenie, które tak dobrze mogło ująć się za objaw złości, jak i zakłopotania. Złakł się. — Niech to szlag! On naprawdę gotów nabrozić — pomyślał i zachowując zewnętrzny spokój, próbował czytać w duszy nauczyciela, który patrzył nań, jakby z wyrzutem. Nie mogąc jednak nic wyrozumieć, co myśli nauczyciel, roześmiał się i rzekł: — Nagadałem, aż się pan, widzę, zamartwił. — Zamartwił kłopotliwie, gdy Jasiukiewicz ze jego uwagą zbył milczeniem.

Byli nielegalnik i żołnierz, nauczyciel Jasiukiewicz, miał w tej chwili w gowie chaos przypominający karczemną wrzawę i poświst wichru. Nie był zdolny ani mówić, ani nawet doprowadzić swych myśli do jakiegokolwiek ład. Serce przestało normalnie uderzać, trzepotało mu w piersiach, jakby się tam nagle skądś wzięła ryba. Wpatrując się w to bezzębne i bezcielesne próchno, które dotąd lekceważył i którym bawił się jak dzieckiem, gdy słuchał jego bają, teraz nagle w tym niewinnym starcu dostrzegł dzikiego drapieżnika, gotowego na wszystko, byle ucaścić zwierzyne. — I to ma być ta wieś, ta ostoja narodowej tężyźni niezaprawowanej gieldą oszustw — zawołał nauczyciel w duszy, doznając niewybaczalnego uczucia zawodu, gdy trząsły w nim wszystkie jego marzenia i plany. Wpatrując się w starca, teraz dopiero czuł i czytał z twarzy tego starego krety zdolność do rycia głębokich korytarzy podziemnych, grozących gwałtownym wstrząsem. W nieśmiały, jakby wstydlivych błyskach oczu starego, zawsze tak samo naiwnych, omal dziecięcych, teraz dostrzegł odcień tak świetnie granej przebiegłości i obudy, że ledwie powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk: — A więc udziałem tych, którzy naiwnie śpią, orać tu na tym zdawało się nieknie-tym ugorze, jest taniec pajaców, a wszystko co w tej tundrze żyje, uległo okrutnemu zakłamaniu? Chciał coś rzec, ale stary znów podjął kłopotliwie.

— A tom panu wywalił, czego nie spodziewał się ani pan, ani ja. Z czym innym tu szedłem, tymczasem inny mnie animusz napadł i wywaliłem panu, com nie powinien, bo czuję, że pan ze mną nie kontent. Jeno, niech pan wie, że ja panu dobrze życzę, bo co tu dużo gadać, lubię pana i przez to samo gęba papiała. Oho! zaraz my poznaliśmy na tym, że pan jest nie taki sam człowiek, jak inni. Pan zwyczajnymi ludźmi nie gardzi i wierzy im. Ale szczerze pana mówię, jeśli pan jest goły, to pan ma dla siebie kiepski charakter. To nie na wieś, panie, taki charakter. Żeby pan spokojnie dzieci sobie uczył, to by pan siedział i siedział Bóg wie jak długo w jednym miejscu, byłoby panu dobrze, jako że na miejscu kamień obrasta. Tymczasem pan wojować lubi, nie wiecieć na co i po co. Po co panu ta wojna z księdzem?

— O was! — wtrącił nie zdecydowanie Jasiukiewicz, orientując się natychmiast, iż wobec tego co usłyszał, powiedział głupstwo. Dostrzegł też w oczach starego żartobliwy błysk ironii.

— Co to panu po tem? — rzekł starzec, machając ręką. Rewolucji pan się boi, to po co się pan z księdzem drażni. Gadaniem przecie nie pan nie robi. My chłopci, nas diabli nie wzięli i nie wezmą, mamy twarde kości. A pan się rychło uszarpie, za jaki rok splunie pan i jeszcze będzie się pan gniewał na chłopską ciemnotę, jak to zrobiło już wielu innych. Ten nauczyciel w Podpradach, panie, ten rozumie. Zaraz po wojnie nastał, a że wacha dobrze pismo nosem, siedzi mocno w siodle. To cwaniak, panie! Pijak, bo pijak, ale cwaniak, że ha! Pan się na to nie nadaje, bo pan nie umiałby udawać, jak on udaje, że ma we wsi pańską organizację. Placi co miesiąc te tam głupie dwa złote składki ze swojej pensji, za to ma poważanie u góry, że jej!

— Nieprawdopodobne! — krzyknął Jasiukiewicz, wyskakując zą zą stołu na izbę.

— Csi! — ostrzegł Wiewiór. — Jeśli pan będzie wrzeszczał, wstaje i idę. Musi pan chyba i na mnie choć trochę zważać za to com panu tu wysłał. Inny na pana miejscu kręciłby się tu na miejscu dziesięć lat w kółko, a pan na wstępie już wie, co się tu święci. Ze się tu pan ożenił i akurat w tej samej wsi pan z żoną siedzi, to rodzina żony wytłumaczyłaby panu za jakiś czas, że nie warto się w takie głupie gadki z chłopami płątać. Ale tymczasem to się wstydzą prawdę mówić, aby się pan na chłopów nie pogniawał i Marysi nie rzucił. Czy nie lepiej panu, że pan wie? To po co mi pan ma tu jakieś wymówki na łeb zwalić? Nie boję się, ale po co mi ktoś ma łeb suszyć. Niech pan wie dla siebie, siedzi cicho, będzie pan wiele rozumiał, a tak płątały się pan, jak niewiedomy. No czy nie prawda?

— Chodźcie ze mną do tego Komety! — zawołał odruchowo nauczyciel.

— Oho! — zachnął się Wiewiór. — Co pan sobie myśli, że z nim tak łatwo gadać, jak ze mną? Muszę go najpierw wybadać, czy zechce z panem rozmawiać. Może wyrzuciłby mnie za drzwi, miałbym się z pyszną we wsi. Jeśli pan sam tak i tak pójdzie, niech pan zwali na Marysię, że to ona panu mówiła, jest pańska żona, co jej tam... —

— Ja was nie zdradzę — zapewniał nauczyciel. — Ale to straszne, dziadku, to...

— Pan jest szlachcicem, to się panu zdaje, że to straszne — rzekł starzec. — A my chłopci, nam to...

— Skąd wiecie o tym, że jestem szlachcicem? — przerwał Wiewiórowi Jasiukiewicz. Siadł z powrotem na swoim miejscu i ze zdziwieniem wpatrywał się w starego.

— A ba! — podrzucił chyłtowo brodę



Władysław Kowalski

Fot. J. Baranowski

Wiewiór. Chłopi wszystko przepenetrują. A co do mnie, to poznałem się na tym, jak szliśmy zaraz drugiego dnia do parku. Pan ni by słuchać słuchał, co mówięm, ale to się tylko obijało panu o uszy i wylało. He! he! he! — zaśmiał się, lecz natychmiast pohamował śmiech dostrzegając na policzkach nauczyciela wstydlivą wypiek. — To nie dziwnego, proszę pana — podjął uroczyście. — Nasz starosta z chłopów jest, a też jak się do niego mówi, albo patrzy w obłoki, albo w ziemię. Dla powagi nauczy się tego od szlachty.

— Dziadku! — zawołał nauczyciel, dotknęty ironią. Byszczący gwałtownością w oczach i ożywiony w ruchach zamilkł, gdyż do izby wpadła rozweselona Marysia.

\*\*\*

Jasiukiewicz po wejściu do izby dostrzegłszy Wiewióra, zachwiał się, stanął między kuchnią i szafą, zastępującą kredens, a jakby dostał porażenia wstrząsu od blasku lampki, wiszącej na haku u środkowej belki, przetrącił chusteczką oczy. Ta chwila dała mu możliwość opanowania się po zdziwieniu, że starzec tak szybko przemierzył drogę, która jego porządnie zmęczyła. Czuł jeszcze w kolanach ból, gdy utknął stopą w jakiejś jamie. Jedynym rzutem oka obiegłszy izbę stwierdził w duchu, że wygląda ona jak uporządkowana rupieciarnia. Z prawa koło pieca stał czymś napełniony wór, dalej szafa o połupanych drzwiach i niemożliwym do rozeznania kolorze. Za szafą stało drewniane, odrapane z farby łóżko okryte samodziałem w czarne i różowe pasy. Chłopi siedzieli na stołkach pod oknem, rozdzieleni stołem. Z lewa znów stało takie samo łóżko, zachodzące odrobinką na wschodnie okno o czterech szybkach bez firanek, jak i południowe. Ale ziela w donizkach tak dokładnie gaily szyby, że ledwie można było dostrzec szkło, lśniąco czarno od światła na tle nocy.

Radecki wsparł się na krawędzi łóżka, ustępując krzesło nauczycielowi. Lecz Jasiukiewicz podziękował. Przywitał się z wszystkimi i pozostał na izbie. Dochowując tajemnicy Wiewiórowi, który wcisnął się na zaplecze, a wsparłszy się łokciem o wór, zerkał niespokojnie po wszystkich obecnych. Jasiukiewicz poprosił Kometa o osobistą rozmowę w ważnej sprawie.

— Jeśli panu chodzi o dzisiejszą rozmowę ze mną, to możeta mówić tu — rzekł nagle Wiewiór. — Teraz niełatwo o ustronie w stodole i na świecie chłodnawo, a w oborze smród — dodał, wywołując na twarzy Jasiukiewicza gwałtowne oznaki zdziwienia z powodu nagłej zmiany, jaka zaszła w tym starym próchnie w ciągu niespełna godziny. Spojrzał nań podejrzliwie.

— No cóż! — podjął Kometa, stając twarzą w twarz o krok od nauczyciela. Rece spłóci z tyłu, brodę wsparł na wypreżonej piersi, dokładnie zakrywając maleńki serek niebieskiej koszuli. No cóż! — powtórzył — sprawiamy wam, panie, liche kłopot swoim istnieniem.

— Dziwnych historii naopowiadali mi dziadek — rzekł nauczyciel.

— Skoro dziadek popuścił języka, — rzekł Kometa, spoglądając z uśmiechem ku Wiewiórowi — mają taką dobrą pamięć, że nie wiele mi po nich zostało do powiedzenia. Nie powinno to jednak pana dziwić. Wy kiwacie nas, a my was.

— Powiedz Szymuś o tym Ślimaku! — zawołał Wiewiór i wnet dodał: — Tego nie mó-



wiem, bo mi się to nie nawinęło do głowy, choć wspominałem o książkach.

Kometa zgrzytał, zaciskając usta.

— A skąd wiecie, że pan nie rozumie tego lepiej ode mnie?

— Chyba nie rozumie — zwątpił Wiewiór, zmuszając tym wulgarnym komplementem Jasiukiewicza do wstydliwego uśmiechu.

— Albo udaje dudka — rzekł Kometa gąsząc uśmiech na ustach nauczyciela.

— Posądzacie mnie o nie szczerość? — zdziwił się nauczyciel zgorzchniony tą rozprawą nad nim, nerwowo rozglądając się po chłopach.

— Cóż macie za pretensje do Ślimaka?

— A co nie mamy posądzać pana o nie szczerość, podjął spokojnie Kometa. — Przywłaszczycie sobie dobro nauki, gdy nam rzucacie strzępy, mamy ufać, że jesteście głupi? Jakżeż tak mogliście nie wiedzieć o tym, że Prus napisał „Placówkę” z rozpaczą nad losem kraju i że to my nie chcieliśmy bronić wolności tych, co nam tej wolności nawet w godzinie śmierci Polski odmawiali. Rzucił tego Ślimaka pod stopy tym, którzy zaczęli w nas pokładać nowe nadzieje. Powiedział im niejako: „Ślimak skorupy ziemi za nic nie odda nikomu, ale i sam z niej nie wygląda na świat. Kimże się więc ludzicie?” „Placówka” panie, to nie placówka rycerza, który wytrwa na pozycji, lecz placówka kreta kryjącego się w norze.

— Panie! — zawołał nauczyciel, uderzony tą interpretacją. — Czyż to możliwe?

Kometa nieufnie podrzucił głową, pakulasta czupryna zatrzęsała się jak na wicherze.

— Niech mi pan nie próbuje dowodzić, że dokonałem odkrycia — rzekł. W to nie u-

wierzę. Wy wszystko załżecie, a gdy was przyłapać na kłamstwie udajecie zdziwienie. Gdy Rey w swoich fraszkach rzucał o nas głębokie myśli, przenicowaliśmy te fraszki na drwinki z nas. Tamto umieliście odwrócić na naszą niekorzyść, czemużby Ślimak miał ująć waszej uwadze? Unarodowiliście sobie tego durnia i przydał wam się. Łatwo, bardzo łatwo było wam w Wolnej Polsce zapomnieć o tym, że wyleźniście ze skorupy, byliście w zrytkach, w wiezieniach, biliście się w legionach, w P.O.W., potem z waszej namowy zasłaliśmy trupami przedpola Warszawy. I co? I nadal trzaskaliśmy Ślimakami. A wy panujecie nam miłościwie i wiecznie kłopotciecie się o „lud”. Niesiecie do swych saloników w miastach ploteczki o naszej ciemnocie, lub zależnie od potrzeby pochwalacie nas za „jakiegoś chłopaka rozum”. Ile w tym oszustwa, a ile waszej beznamiętności, to trudno byłoby do cieć. Ja znam tylko jeden rozum: ludzki. Ale wy nas nie możecie uznać za ludzi, bo kimże wtedy opiekowalibyście się? Nasza w waszym pojęciu głupota to wasza wieczność. Ta nieustanna konieczność waszego wódatstwa dla naszego dobra. Pięknie nas traktujecie, nie ma co! Godniście też odpowiedniego podziękowania.

— Ależ pan srodo osądza inteligencję! — zachnął się nauczyciel.

— Nie, panie — zaprzeczył spokojnie Kometa — Lenina nie osądzam, choć był inteligentem i szlachcicem.

— Acha! — sarknął ironicznie Jasiukiewicz. — I to mówicie wy, byliście car- ski, niepodległościowiec i peowiak?

— Wystrychnęliście mnie na dudka, Polskę moją i z Polski się cieszę bogaczem, ja mam tylko to smutne wspomnienie, że o Polskę walczyłem.

— Walczcie teraz o swoje prawo — rzekł Jasiukiewicz. Niech chłopci oddają głosy na lewicę.

— Na tę lewicę, jaką reprezentuje pan — zaśmiał się Kometa. — Mianowski mnie obelgał, jest dziś ministrem w sanacji. Już nie wierzę, abyśmy od was doczekali się na tę książkę „dla Walczaka”, o którą wołał Żeromski, Cervantes, Dante, Shelley. Oho, ho! Czego to się Żeromskiemu zachciewało! Szymon kołysał głową. Nie papieża, nie biskupa, lecz wikarego gdyby się ktoś ośmielił posłać do piekła i to nie tam, gdzie siedzi papież Inocenty, lecz nawet razem z Wergiliuszem, co by to tu takiemu śmiałkowi powiedziano w tej niby wolnej Polsce! Grzechów, panie, macie za sobą całe wieki, boicie się krytyki. Chcacie tylko śpiewać kojące sielanki i bajkę legendy. A zdawało mi się kiedyś, że wy chcecie nowej, mocnej, walczącej Polski, a tymczasem wy się jej boicie. Bardzo szybko, mój drogi panie, wywietrzyliście z ideałów ludowych i buntu. Wprawdzie przytupujecie mocno sami, ale iluż was tak wyśpiewuje i na jak długo wam tej radości starczy? Zakłamałście garstkę chłopów i uznaliście ich potem za naszych reprezentantów, gdy oni w istocie tak zdurnieli, że nikt ich nie rozumie, pośmiewiskiem stają się na ws.

— Warszawa skarży się na brak treści w sztuce, a tu wieś gra dramaty na miarę Szekspira — rzekł do siebie nauczyciel.

— Jeżeli o Anglików idzie — rzekł Kometa — to raczej Shaw miałby o was więcej do powiedzenia. Bohaterowie dramatów Szekspira są ponurzy, gdy wy jesteście głupio weseli, a my za nic nie ponosimy odpowiedzialności, prócz za siebie samych. Czekamy na swoją godzinę i obserwujemy ten wasz komizm, który w was odbija się inaczej. Niech pan popatrzy na chłopów w dzień targowy w Błotnicy, a dostrzeże pan inny komizm. Chłopci są tak zahukani biedą, że aż są śmieszni. Toteż nasz rodak woźny w sądzie grodzkim w Wyrajach, opłacany lichą czystą gotówką, wstydzi się podać ręki tym dziwnym stworom, od których on odbija jak złoto od sadzy. Tymczasem warstwa, do której się pan zalicza, zbyt zaobserbowana jest uzyskanymi w Polsce stanowiskami, nasze sprawy niepokoją was tylko od czasu do czasu, gdy musicie dosięgnąć na nas bata, drgniecie wtedy na moment, ilu was jest, każdy inaczej nas osądzi i wszystko zostaje, jak było, aż się znów przypominamy. Zmuszacie nas do walki, nie możemy wam odmówić prawa do niej, abyście nas nie ośmielili się ochrzcić jakimś dodatkowym imieniem, nie mniej miłym od Ślimaka. Ponieważ jest nas kilkakrotnie więcej niż burżujów i was, ich popleczników, to nas tym bardziej zobowiązuje, walkę przyjmujemy.

Mrugnął ukradkiem na Pacusia, który natychmiast wstał, pożegnał się i wyszedł.

Jasiukiewicz dostrzegłszy ten lekceważący gest, mający na celu wyprośzenie go również z izby, spojrzał w pułap by ukryć własne zmieszanie.

Władysław Kowalski

Karol Kewes

## „Brudna wojna” w Indochinach

Ministrowie francuscy nie lubią mówić o wojnie z Vietnamem. Bo jak nazwać, jak objaśnić tę agresję wobec narodu, który był sojusznikiem Francji w walce z Japonią? Jak pogodzić istnienie tego konfliktu zbrojnego z oświadczeniem pana Roberta Schumanna, który zapewnił w przeddzień podpisania paktu atlantyckiego, że: „Konstytucja francuska zabrania nam uczestniczyć w wojnach napastniczych. Francja nigdy, w żadnym wypadku nie może się znaleźć w roli agresora”. Nigdy? W żadnym wypadku? A Indochiny? Przecież najbardziej nawet naiwna osoba nie może uwierzyć, że ekspedycja karna przeciwko Vietnamowi jest wojną defensywną. Lepiej więc nie mówić o niej. Wychodząc z tego założenia minister Ramadier odmówił przed kilku dniami wyjaśnień na temat ostatnich walk w Tonkinie. Ale lud Francji, do którego dochodzą z tych lub innych źródeł wiadomości z teatru działań wojennych, który coraz częściej zmuszony jest asystować przy ceremoniach żałobnych ku czci poległych w Indochinach, który wreszcie nosi na swych barkach miliardowe koszty całej awantury, ochrzcił tę okrutną wojnę kolonialną jedynym imieniem na jakie zasługuje „La sale guerre” (brudna wojna).

Od kilku tygodni walki w Indochinach wzmogły się. Problem vietnamski znajduje się na porządku dziennym debat wewnętrznych i tajnych rozmów francusko-amerykańskich, które toczą się obecnie w Waszyngtonie między Schumannem i Achesonem. By zdać sobie sprawę z aktualnej sytuacji w Indochinach, musimy rzucić okiem na geografię i historię tego kraju. Chodzi oczywiście o najelementarniejszą analizę wypadków, które miały tam miejsce w ostatnim wieku.

Oddalone od Francji o 15.000 km Indochiny zajmują terytorium 740.000 km<sup>2</sup> i są zaludnione przez 24 miliony mieszkańców. Graniczą one na lądzie z Chinami, Birmą i Syjaniem, oraz posiadają 2960 km wybrzeża z wieloma dogodnymi portami. Indochiny posiadają wielkie bogactwa naturalne. Wystarczy wymienić kaurczuk, węgiel, ogromne złoża etanu, cynku, plombu i innych szlachetnych metali, by zaliczyć je do jednego z najbogatszych krajów świata. Uprawa ryżu i herbaty, kultur tradycyjnych w tej części Azji, jest także bardzo wysoko postawiona. 85 proc. ludności stanowią Vietnamczycy, którzy zamieszkują trzy najważniejsze prowincje: Tonkin, Annam i Kochinchine. Prowincje te znajdują się na północy i zachodzie kraju, graniczą więc z Chinami i są najbardziej rozwinięte ekonomicznie. Pozostałe dwie prowincje: Kambodża i Laos, graniczące ze Syjaniem i Birmą są znacznie biedniejsze, słabiej zaludnione, bardziej zacofane. Już w XVIII wieku kupcy francuscy wypchnięci przez Anglików z Indii, starali się zrekompensować sobie tę stratę przenikając do Indochin. Ale dopiero w drugiej połowie XIX w., po wielokrotnych interwencjach zbrojnych, Francuzi usadowili się na dobre w Indochinach. Rozbitą na mnóstwo księstw i „cesarstw” feudalnych, podzieloną na kasty i sekty religijne, naród indochiński nie mógł oczywiście przeciwstawić się inwazji. Francuzi zorganizowali „Banque d'Indochine”, który zajmował się inwestycjami i eksploatacją bogactw tego kraju i w którym miejscowi „cesarze” i wielcy właściciele ziemscy (oparcie imperialistów francuskich) posiadali pewną ilość akcji. („Banque d'Indochine” istnieje zresztą i dziś, posiada wielkie znaczenie w polityce zewnętrznej Francji i jest jednym z organizatorów obecnej wojny). W 1930 roku wybuchło pierwsze

powstanie w Tonkinie, prowincji najbardziej wysuniętej na północ i będącej niewątpliwie pod wpływem rewolucyjnych Chin. Powstanie to zostało w krwawy sposób stłumione, ale pozycja Francuzów była nadal niepewna. Świadczyć o tym mogą obawy wyrażone przez André Violis w książce „Indochine S.O.S.” (Wydawnictwo Gallinard — 1934 r.). W tym okresie powstała Komunistyczna Partia Vietnamu, której przywódca Ho-Chi-Minh znany był już światu ze swej działalności u boku rewolucjonistów chińskich w Kantonie. W 1940 roku rozpoczęła się inwazja japońska w Indochinach. Francja rozbita i zdradzona od wewnątrz nie mogła przeciwstawić się jej. Zresztą imperialiści francuscy, wierni rządowi Vichy i uznający Japończyków za sojuszników „osi”, nie

czyli i oczyścili swój kraj. 25.8. 1945 roku (a więc jeszcze przed kapitulacją Japonii) marionetkowy cesarz Bao-Dai, który współpracował z okupantem, zmuszony został do abdykacji. Jednocześnie proklamowana została republika Vietnamu, a jej pierwszym prezydentem został Ho-Chi-Minh. Natychmiast przystąpił on do realizacji obiecanych narodowi reform. Francuski korpus ekspedycyjny, który po kapitulacji Japonii wyładował w Kambodży i Laosie (prowincje te były okupowane przez Syjam i stosunki z Francją po wojnie nie uległy tu zmianie), mógł przeniknąć do Vietnamu dopiero po podpisaniu 6 marca 1946 r. konwencji niepodległościowej z Vietnamem.

Oto pierwsze dwa punkty tego aktu: — 1) „Francja uznaje Republikę Vietnamu jako

ności cywilnej. Rozpoczęła się „brudna wojna” w Indochinach...



Wojska Ho-Chi-Minh'a, choć boso, czuwają nad bezpieczeństwem Republiki Vietnamu

chcieli bynajmniej walczyć z nimi. Po dwóch ultimatach (21 czerwca 1940 i 22 września 1940 r.) Japończyk bez walki zajął Indochiny. Naród vietnamski, który widział w imperialistach japońskich żandarma starego porządku, zorganizował samodzielnie ruch oporu. Z inicjatywy Ho-Chi-Minha i komunistycznej partii, w 1941 r. powstał Viet-Minh (pełna nazwa tej organizacji: Viet-Nam - Doc - Lap - Minh - Hoi) — vietnamski front ludowy, obejmujący 14 partii i organizacji postępowych i antyjaapońskich. Viet-Minh obok walki z okupantem postawił sobie za cel szerokie reformy społeczne, jak np. „ustanowienie republiki z powszechnymi wyborami i prawami demokratycznymi dla wszystkich. Zniesienie przywilejów feudalnych, konfiskata dóbr zdrajców i reforma rolna. Industrializacja kraju. Obowiązkowe nauczanie, pomoc dla artystów i intelektualistów”. W imię tego programu ogromne masy narodu vietnamskiego przystąpiły do walki z imperialistami japońskimi i ich slugami. „Resistance” Vietnamu pełne jest przykładów bohaterstwa, a o jego sile i znaczeniu świadczy najlepiej fakt, że prawie samodzielnie rozbroili Vietnamczycy Japo-

państwo wolne, posiadające swój rząd, parlament, armię i finanse i będące niezależnym członkiem Union Francaise (Unii Francuskiej). 2) Rząd Vietnamu pozwala na wkrócenie wojsk francuskich i obiecuje przywrócić je przyjaźnie. Wojska te zgodnie z umowami międzynarodowymi mają zastąpić oddziały japońskie”. (Chodzi o układ po kapitulacji Japonii) Rząd Ho-Chi-Minha zgodził się na ten drugi warunek, by nie komplikować sytuacji międzynarodowej, a zwłaszcza, że widział on w wyzwolonej demokracji Francji swego sprzymierzeńca i wierzył, że lojalna współpraca z nią będzie korzystna dla obu stron. Ale natychmiast po wkroczeniu do Vietnamu oddziały francuskie zaczęły prowokować incydenty z ludnością i nowymi władzami Ho-Chi-Minha udał się więc do Francji i ponownie podpisał, w dniu 1 września 1946 r. w Fontainebleau, „modus vivendi” z Francją, który miał zapewnić spokój i przyjazne stosunki między Vietnamem i metropolią. W kilka tygodni później, biorąc za pretekst jakiś błąd zatarg celny, Francuzi pogwałcili wszystkie układy i ich lotnictwo i flota morska zbombardowały Haiphong, zabijając 20.000 osób spośród lud-

Zmiana polityki francuskiej w Indochinach i rozpoczęcie napastniczej wojny przeciwko Vietnamowi objaśnia się ewolucją wewnętrzną metropolii, powrotem do władzy wielkiej burżuazji i kapitału finansowego. „Banque d'Indochine” odzyskała swoje wpływy w rządzie francuskim i stał się promotorem agresji. Imperialiści francuscy nie chcieli się zgodzić na lojalną współpracę z Republiką Ho-Chi-Minha, sądzili bowiem, że potrafią przy pomocy interwencji zbrojnej spacyfikować Indochiny i powrócić do dawnych form eksploatacji tego kraju. Angażując się w awanturę panowie z „Banque d'Indochine” liczyli na dwa czynniki przychylnie, które miały zapewnić powodzenie ich zamysłów: primo — na przewagę w uzbrojeniu wojsk francuskich i nagłość ataku, sekundo — wierzyli oni w niemożliwość nowego reżimu republikańskiego i poparcie ze strony pewnej części ludności (szczególnie elementów ekspropriowanych i konserwatywnych). Naiwna ta kalkulacja zawiodła na całej linii. W ciągu kilkumiesięcznych rządów pokojowych Ho-Chi-Minh zrealizował wielkie reformy społeczne, zapewniając sobie poparcie i sympatię przytłaczającej większości Vietnamczyków. Viet-Minh (front ludowy) zmobilizował ogromne masy patriotów do walki z inwazją, a posiadając doświadczenie 4-letniej wojny z Japończykami, potrafił skutecznie przeciwstawić się lepiej uzbrojёнemu korpusowi ekspedycyjnemu. Francuzi zajęli co prawda większe miasta i porty, ale nie potrafili przeniknąć w głąb Vietnamu, ani zamać oporu partyzantów indochińskich. Są oni właściwie więźniami w tych miastach, gdyż nie mogą poruszać się swobodnie w nich, ani tym bardziej poza nimi. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna: Mimo obecności Francuzów, w Indochinach sprawuje władzę rząd Ho-Chi-Minha, i można powiedzieć, że istnieje państwo w państwie. Wyścarki wyjechać za rogatki Saigona (kóry oficjalnie jest rezydencją głównodowodzącego francuskimi siłami zbrojnymi w Indochinach), by znaleźć się na terytorium administrowanym przez republikę vietnamską.

Wielu dziennikarzy francuskich, niekomunistów, jak np. Jean Perroquin, stwierdziło:

„Rząd Ho-Chi-Minha sprawuje władzę w ramach systemu całkowicie demokratycznego i cała ludność wykonuje jego prawa „de grand coeur” (z całego serca). Republika demokratyczna Vietnamu posiada rząd prawidłowo wybrany, państwowe organa administracyjne, policję, szkoły, uniwersytety, wystawy artystyczne, prasę, radiostację i — swoją armię.

Prowadzi ona systematyczną pracę nad odbudową kraju i zwiększeniem jego potencjału wojennego. Niedawno radio Vietnamu ogłosiło światu o zbudowaniu i uruchomieniu hydro — elektrostacji...”

A oto inna cytata poświęcona wojsku vietnamskiemu, z artykułu pod tytułem: „Une republique clandestine de 20 millions d'hommes prepare la moisson de la paix” („Nielegalna republika 20 milionów ludzi przygotowuje żniwa pokoju” — „Action” Nr. 231 — 3. III. 49 r.).

„Armia vietnamska jest dobrze zorganizowana, zdyscyplinowana i szczególnie czynna. Jej żołnierze dzięki znajomości terenu posiadają przewagę w wojnie partyzanckiej. Ale głównym elementem ich siły jest wiara w słusność i zwycięstwo sprawy,



o którą walczą: „Niepodległy Vietnam”. Przykład Chin jeszcze bardziej wzmocnił tę pewność i wiarę.

Szczegółowe opisanie republiki Vietnamu może być tematem dla całego szeregu artykułów. Wszyscy powracający z Indochin pełni są podziwu dla niej i dostarczają wciąż nowych materiałów. Nie wdając się jednak w detale zreasumujemy sytuację militarną w Indochinach. Wojna trwa, Francuzi w odpowiedzi na ataki w Tonkinie wysyłają posiłki. Ale pan Ramadier, tak dyskretny na trybunie, przysłał w korytarzach Zgromadzenia Narodowego „il n'y a pas de solution militaire en vue” (nie ma widoków na rozwiązanie militarne). Potęga wojskowa i organizacyjna państwa Wietnamskiego wciąż wzrasta. Tam, gdzie wczoraj byli „maquis” — dziś jest front. Wczoraj przeciwko Francuzom walczyli partyzanci — dziś regularna armia. Brak jej jeszcze ciężkiej broni, ale wszyscy wiedzą, że niedługo Vietnam będzie ją sam produkować. Brytyjski dziennik — „Daily News” stwierdził z całą obiektywnością: „Vietnamczycy potrzebują jeszcze kilku miesięcy, by uczynić życie całkowicie nie do wytłumaczenia dla Francuza”.

Wojna w Indochinach kosztuje Francję 30.000 ofiar i 87 miliardów 600 milionów franków rocznie. Import z Indochin wyniósł w ostatnim roku przed wojną: 2 miliony ton ryżu, sto tysięcy ton kauczuku, 2 miliony ton węgla, setki ton szlachetnych metali — dziś właściwie równa się zeru. Wydawałoby się, że w tych warunkach rząd fran-

cuski powinien za wszelką cenę i jak najprędzej zawrzeć pokój z Ho-Chi-Minchem. Ale zaślepieni anty-komunizmem panowie z rządu R. F. wola samobójstwo, niż takie wyjście z konfliktu. Zwracają się więc o pomoc do wuja Sama. Przytoczę tutaj wyjątek z dyskusji między „Life” i „France-Dimanche”. Tygodnik amerykański stawia zagadnienie w ten sposób: „Czy Francja, która jest osłabiona wewnętrznie, ma prawo i możliwość kierowania 25-milionową rzeszą mieszkańców Azji? Vietnam i jego wodzowie mówią: Nie. Francja zaś nie przekonała dotychczas świata, że jest odwrotnie”. „France-Dimanche” odpowiada na ten artykuł w sposób następujący: „Surowe krytyki amerykańskie miałyby więcej wagi, gdyby głośno i kosztownie kleski Stanów Zjednoczonych w Chinach nie dowiodły, że USA nie są w stanie udzielać lekcji prowadzenia dyplomacji na Dalekim Wschodzie”. Ale wiemy, że dowcipnej odpowiedzi „France-Dimanche” nie podziela bynajmniej rząd francuski, który bardzo chętnie otrzymuje lekcje dyplomacji od swych zwierzchników z Wall-Street. Jeśli kiedys między imperializmem francuskim i amerykańskim na Dalekim Wschodzie istniała rywalizacja i walka, to dziś wobec wspólnego „czerwonego” wroga, zeszyły one na drugi plan. Zresztą trzeba wiedzieć, że „Banque d'Indochine” przeszedł w znacznej części w ręce „Corporation franco-americaine pour le developpement de l'Empire colonial francais”, tak że rzeczywiście właścicielami indochińskiego trustu kauczuku, etanu i ryżu są Amerykanie. (Posiadają oni 80% akcji w Corporation franc.).

Najważniejszą jednak przyczyną ingerencji amerykańskiej w sprawy Indochin jest fakt, że i Francja i USA należą do tego samego obozu imperialistycznego i wojennego. Chciałyby one uczynić z Indochin bazę wojenną przeciwko ZSRR i Chinom Ludowym. Wszystkim wiadomo, że w obozie imperialistycznym pierwsze skrzypce gra Ameryka, a obecnie, po podpisaniu paktu atlantyckiego, Francja dobrowolnie oddała inicjatywę w Indochinach w jej ręce. Nie znaczy to, że Amerykanie zastąpią wojska francuskie w Vietnamie. Wall-Street woli cudzymi rękoma wyciągać kasztany z ognia. Ale Amerykanie mają swój projekt uregulowania konfliktu. Polega on na powrocie na tron Bao-Da'ia. Były cesarz, skompromitowany współpracą z Japończykami, tylko dzięki swym wpływom w „Banque d'Indochine” otrzymał pozwolenie osiedlenia się w Cannes, gdzie czuje się zresztą bardzo dobrze, często gości w kasynie gry i zdobył już sobie przydomek cesarza „des boites de nuit” (nocnych lokali). Bao-Dai z całą szczerością oświadczył dziennikarzowi z „Le Monde” (15 stycznia 1949 r.): „Ja nie reprezentuję nikogo więcej prócz mojej własnej osoby”. Później przekonano go, że reprezentuje on cesarstwo Vietnamu i że musi wrócić na tron w Hue. Bao-Dai to karta amerykańska. Gra jest prosta. Francuzi zostali zmuszeni do podpisania z nim układu dającego bardzo szeroką autonomię Vietnamowi, parlament itd. Bao-Dai ma wrócić do kraju i oświadczyć: „oto co osiągnąłem bez walki z Francuzami”. Amerykanie wierzą, że w ten sposób odzyska on swój autorytet w kraju i zabezpieczy „pokoju powrót” imperialistów.

Ale Francuzi, którzy już wiedzą, co znaczą rozwalane iluzje, są nastrojeni pesymistycznie. Proszą oni USA o konkretną pomoc zbrojną, strasząc komunistami chińskimi, którzy rzekomo mieli wkroczyć do Tonkinu (wszystkim wiadomo, że wojska Mao-Tse-Tunga znajdują się o 2.000 km od Tonkinu). Gen. Revers, szef sztabu armii francuskiej, udał się do Waszyngtonu, by prosić o natychmiastową interwencję i objaśnić trudności francuskiego korpusu ekspedycyjnego. Podobne rozmowy prowadzi Schumann z Achesonem. Rozmowy te są najzupełniej tajne.

Blok imperialistyczny mobilizuje się przeciwko Republice Vietnamu, ale lud Francji widzi w niej swego sojusznika i żąda natychmiastowego pokoju z Ho-Chi-Minchem. Doświadczenia ostatnich lat potwierdziły, że istnieją ściśle więzy między ruchem wyzwoleniczym narodów kolonialnych i walką klas robotniczej w metropolii. Jak uczy leninizm, jedni i drudzy walczą o obalenie imperializmu, wspólnego wroga pracujących wszystkich krajów i narodów. Amerykańscy imperialiści i ich francuscy lokaje są dziś wspólnym wrogiem Vietnamu i wszystkich demokratów Francji. Zwycięstwo milionowych narodów kolonialnych będzie potężnym ciosem dla całego systemu imperialistycznego, ciosem, którego znaczenia historycznego nie można nie doceniać. Dlatego lud Francji całkowicie solidaryzuje się ze swoimi obrońcami w Vietnamie i żąda od imperialistów amerykańsko-francuskich natychmiastowego zaprzestania „brudnej” wojny w Indochinach.

Karol Kewes

Stanisław Pięta

## PIERWSZA ORKA

Ilustr. H. Orzechowska

Wojtek już na myśl, że ma iść prosić tego pyszałka, bogacza Chojnackiego, cierpi z rozdrażnienia i traci ochotę do roboty i do jada.

— A może nie pójdę, może udam się do Teofila Pyłki? — mówił do żony i podnosił twarz nadąsaną, okoloną po bokach, jak czarną wstążką, kielującym zarostem.

Ludzie robili już na rozparcelowanych działkach, Suchy Józef orał, Komada Mikołaj rozwodził gnoj, chłopaki Kuby Gajdeczki spuszczały wodę z łaki i popiół siali na swojej niwie. Wojtek ogarnął spojrzeniem zachmurzone spokojne niebo i uczył ucisk w piersi, wszystka krew zadrżała w nim znów, by lecieć na swoje hektary i robić, robić, orać, bronować, siał, oddechem później grać kielujące zboże ku górze.

Zona Wojtka, Marysia, dwudziestoparolatnia kobieta z żółtą od płam twarzą, niepokojnymi, siwymi oczyma i pogrubiałym w ciążę brzuchem, podniosła się od pniaka, gdzie zbierała na ramiączko drwa i rzekła cicho:

— Chojnacki obrabiał przecie nas co roku, idź najpierw do n'ch.

— Nieprzyjemnie tam iść, gotów znów naigrawać się i robić przytyki.

— Co tam, głowa nasza powinna wiele wytrzymać — byle pojechał i zasiał, to najważniejsze.

Wojtek rozrąbał ostatni klocek drzewa, otarł pot i usiadł na pniaku. Zona, niosąc w jednej ręce wiadro wody, w drugiej drwa, zbliżała się już ku domowi i przywoływała kury do sieni. Naprzeciw Chojnackiego parsknęły konie popędzane w kieracie przez dzielnego, siwego człowieka, że stodoły leciały grubym śmiechem i hałas, rżnięto tam sieczkę już od kilkunastu minut.

— Wszystko jedno, pójdę — zdecydował Wojtek. Zakurzył papierosa i naciągnął kaszkiet na prawe ucho, drobny z postawy, lecz rzucający się i tak w oczy, z powodu smagłej, cygańskiej niemal cery i polyskanych, czarnych źrenic, udał się przez dziurę w płocie na obejście swego sąsiada, Chojnackiego, oczywiście, nie wyszedł mu naprzeciw, zachował się tak, jakby wcale nie zauważył gościa, nakładał słome, krzyczał na córkę, by z większym pośpiechem odgarniała sieczkę i dowcipkował z kimś, siedzącym w zapolu na sianie.

Wojtek czekał w milczeniu z dziesięć minut, skóra drgała mu na policzkach, dlonie mimo woli kurczyły się i rozprężały.

— A, to ty, Suchy, no co powiesz? — zawołał nagle Chojnacki i rad z dowcipu, który zamierzał wypowiedzieć, zachichotał. — Sprzykrzyja ci się twoja baba, do Staszki możejś przyszedł?

— Chciałem, byście mi dali koni do orki — wyszeptał Wojtek, lecz zbłądził, bo wysoki, z rudym wąsem i długim jak dziób nosem Chojnacki, parsknął śmiechem w dalszym ciągu.

— Odrobie, dajcie, dajcie...

— A gdzież to chcesz orać? Gdzie ty masz pole? Na tej półmordzie, co ci Marysia wniosła, zasiałeś żyto przecież.

— Będę orał tam, com dostał.

— Co? Przecie wiesz! Będą za to, gdy kto nie odda dworskiej ziemi. Rzuć hektary, ratuj życie, Wojtku.

— Ja po sprawiedliwości otrzymałem.

— Tak? Idź więc do tych po konie, co ci hektary dali.

— Wy nie pojedziecie zatem?

— Idź, póki dobry — zatrząsł się nagle Chojnacki i czerwieniąc na twarzy wyszedł przed stodołę.

— O co wam idzie?

— Psiakrew, robić się, żyć jak dotąd nie chce, krwawica hrabska chcą się świnię tuczyć. Na kolanach będziesz jeszcze prosił o przebaczenie, bykownem będą ci walić, że aż ziemię będziesz gryzł. — Słyszysz, Józef, słyszysz? — odwrócił się Chojnacki do siedzącego chłopca w zapolu — działy zaczynały rezykować, stawiać się, dzisiaj hrabiego zniszczą, jutro zniszczą nas, gospodarzy. Kto cie to, Suchy, uczy rozumu, byk, kozieł czy kulawy pies? A do kościoła, do spowiedzi i całować nas po rękach, byśmy ci znowu pozwolili żyć.

Wojtek trząsł się od gniewu, ale nie dał się ponieść uczuciom, szarpał się jednak i splunął: — Przyjdzie jeszcze czas, doczekam się zmiany, skopie ją was, tak jak wy dzisiaj mnie. Nie wypuszczę ja waszych słów z pamięci.

— Poszedł precz — huczał już Chojnacki, bo ci kullka poświecie, cholero jedna. Nie doczekasz się ty zmiany, działu, przyjdzie ci do mnie, będziesz zebrał, żebym cię wziął do roboty, a ja ci dam żarcie na tym, co pies je. Ty nie jesteś człowiekiem, działo nie jest człowiekiem, świat jest dla takich jak ja, zapamiętaj to sobie...

By nie słyszeć przekleństw i chichotu, Wojtek nacisnął kaszkiet jeszcze bardziej i śpiesznie przecisnął się na swój ogród. Głęboki ból i szarpała wściekłość, nie mógł słowa przemówić, gdy się znalazł w domu.

— No i co? — spytała go żona, gdy wszedł. Stała przy blasze, trzymając dziecko na ręku i mieszała łyżką w ziemniakach, które się już gotowały.

— Ech, pieskie nasze życie! — zawołał i nie chciał mówić, dopiero przy kolacji coś niecoś wybałał, co zaszło.

— Trudno — odezwiała się — trzeba szukać innej rady. Pojedziesz na krowie naszej, pług da ci Jasiek, brat twój, szlę dostanieś od Gajdeczki Pawła. Zasiać trzeba, trzeba...

— Wiśniocha nasza nie poradzi, chuda, nie ma sił.

— Nie bój się, powoli zrobi, da ziemi radę.

— Więc mam iść do Jaska?

— Idź, idź, robi się ciepło, każda minuta jest droga.

— Tak mnie boli. Co ja zawińnię temu Chojnackiemu, co ja zawińnię?

— Przyjdzie kryśka na tego drania, nie bój się, jeszcze on zebrał będzie łaski u ciebie,

nie ty u niego. Czasy, które idą, nie będą dla bogaczy łaskawe, o nie!...

Gdy się zmierzchało, Wojtek, wciąż jeszcze wzburzony, wyszedł z domu i skierował się na wieś. Wahał się chwilę, ale udał się w końcu do Pawła Gajdeczki. Niespodziewanie teraz poszczyło mu się. Gajdeczka wypożyczył mu pługa, bron i uprząży, doradzał przy tym jeszcze, jak trzeba się obchodzić z krową w czasie orki, by jak najwięcej zrobić, a bydlęcia mimo to nie zameczyć.

— Gajdeczka to dobry, uczynny chłop — wzruszał się Wojtek, leżąc już w łóżku.

— Spójmy, rano czeka nas harówka — zamruczała Marysia i oddychała ciężko, łapała jakby ostatnie przed snem powiewy.

Już przed wschodem słońca byli na nogach. Wojtek przyciągnął pług od Gajdeczki, Marysia ugotowała kartofle i wydoła krowę. Z namaszczeniem niemal wkładali Wiśniochę szleję na kark. Krowa była chuda, patrzyła z żalostí w przestwór i rzyła przeraźliwie. Marysia wytarła jej wiechem obłazy z sierści grzbiet, zrobiła znak krzyża nad nią i powiedziała Wojtkowi, że może ruszyć. Naprzeciw, za płotem stała cała niemal rodzina Chojnackiego, trzy dorosłe córki, dziesięcioletni chłopak i starzy, i gwarząc, obmawiając, zachłystywali się radością i śmiechem. — Maryśka, co, wy na kierunek prowadzą Wiśniochę? — rąbnęła naraz Chojnacka, tłusta, biała na twarzy kobieta, z śmiejącymi się oczami i filuternym dółkiem w brodzie.

Ani Wojtek, ani Marysia nic nie odpowiedziały.

— Mam, krowa Suchych zapaskudziła nam miejsce koło furtki! — krzyknęła znowu najmłodsza córka Chojnackiego, Hela, dziewczyna z zawzięciem, butnie patrzącymi oczyma.

— Ej, Maryśka, po dobroci, pobieraj łajno w podótek — rzuciła znowu stara Chojnacka. — Możesz mi gadać, ale tu — zamruczała Marysia i stając blada z wściekłością, w pochylem uniosła spódnicę nad siebie.

— Schowaj, działo, bo śmiesz! — pisał swoim ostrym głosem Chojnacki, że Wojtkowi na sekundę serce przestało bić w piersi z bólu, gniewu i oszołomienia.

— Chodź, miej rozum — szarpała go Marysia i pociągnęła krowę do przodu.

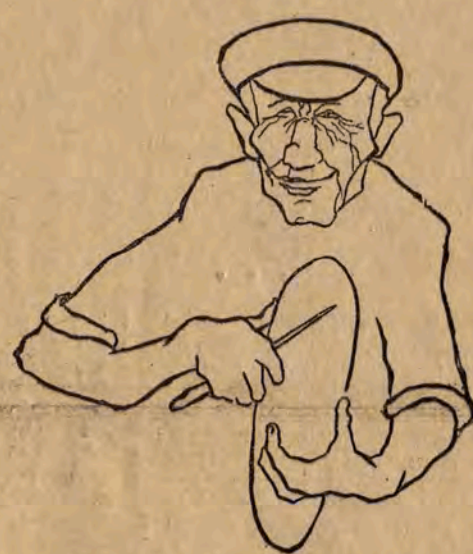
Zajechali szczęśliwie na pole, ale orka nie szła im wcale. Wiśniocha ziała, rzyła żalostí, roniła pot i stawała co chwilę. Marysia, dźwigając dziecko na rękę, przybiegała do krowy, ciągnęła ją za szleję ale to nie wiele pomogło. Wiśniocha przebiegała nogami z trudnością i znowu stawała, patrząc bezradnie na przeciierające się niebo i na wrony, odskakujące po skibach z wrzaskiem.

— Nie da rady, trza odpocząć — wybełkotał Wojtek — idź, Maryś, coś tam ugotuj, przyjdź po obiedzie.

Gdy żona odeszła, Wojtek dopiero na dobre pograżył się w osupieniu. Słońce teraz przebiegiwało, pokrzykując na konie szedł obok Mikołaja Komada i biczyskiem spychał skiby, gdy słabo odrywały się od pługa; dalej świeciły się wierzyby, aż żółte od napęczniałych soków, zawodziły nad wodą czajki. Wojtek nie śmiał już popędzać Wiśniochy, czuł iż w krtani, żalostí rozpięająca boleśnie cały mózg. „Nie zorzę ani za miesiąc — myślał — co to będzie? Co to będzie? Że to mnie tylko dzieje się taka krzywda, tyle ochoty do pracy i nie ma czym, nie ma czym robić.”

Wyprzął Wiśniochę, puścił ją na łąkę i stanawszy na skraju swojej działki, patrzył na pług z takim napięciem, jakby się sam zaprzęgał do niego.

— Jak się masz, Wojtek? — Ho, na krowie przyjechał, uparty chłop z ciebie! —



rozległ się nagle z drogi pogodny, wysoki głos.

— Dzień dobry — szepnął Wojtek i odwracając się zobaczył przed sobą Kaspera Wojtawca, jasnowłosego, piegawatego, młodego chłopca, jadącego wolno na capigach pługa ku wsi.

— Obiecują nas strzylać, ale nie trza się bać, wszystkich nas nie powystrzelają, trza robić, trza siał. Piękna ziemia, aż serce się raduje do tej nowej orki — wołał Wojtawiec i zatrzymał konie.

— Cóż, nie ma, bracie, czym. Krowa mi padnie, nie podołam.

— W samej rzeczy, krową nie wiele poradziś. Zaczekaj do pojutrze, ja ci zorzę i zaszleję, wykrecisz snopki i poszyjesz mi chałupę za to, dobrze?

— Jeśli masz serce — wybałał słabym głosem Wojtek.

— No, to jest zupełnie po mojej myśli.

Po chwili Kasper kołmi, Wojtek popędzając krowę, wracał do wsi. Za drogą Wojtek, już weselszy, rozgadał się i opowiedział Kasperowi, jak go to wczoraj przyjął bogacz Chojnacki.

— To filut, ale będzie on jeszcze chodził bez tej swojej czerwonej pychy na gębie — rzekł Kasper i, zdejmując kaszkiet, odgarnął gęstą, jasną jak świeża strzechą czuprynę z czoła. — Zobacysz, nie oni wygrają, my wygramy.

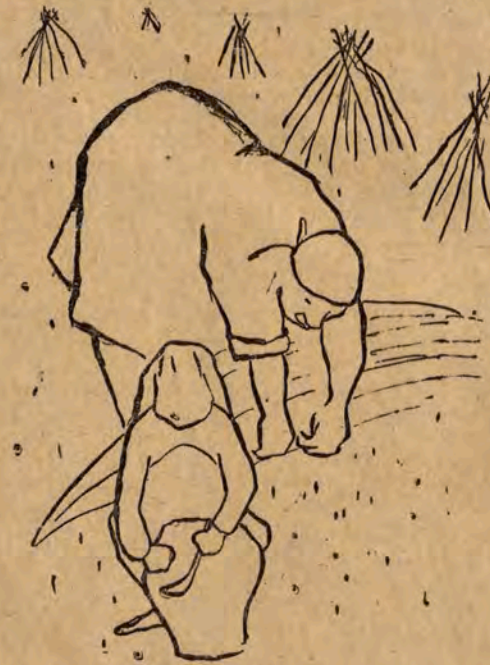
— Pieczę, bracie, to odnoszenie się tak do człowieka. Co ja mu zawińnię? Co za bratem? W czym skrzywdziłem? — mówił żarliwie Wojtek. Wiśniocha jakby odetchnęła już na dobre, bo próbowała skubać odrastającą trawę na brzegach drogi. Na stawie przy wsi dary się gęsi, dymy szły z kominów chałup prostymi, łagodnymi słupami w niebo.

— Do pojutrze, Wojtek, przyjdź jak najwcześniej — odwrócił się Kasper, któremu droga wypadła na lewo i zszedł z pługa, skierował konie w boczną, błotnistą ulicę.

„Nie zapomnę ci, bracie, tego wsparcia” — myślał Wojtek, był wzburzony radością i nie zmartwiła go tedy wiadomość, że stara Chojnacka zabiła im kurę przed bramką.

— Odplacimy im, nie martw się, Maryś — mówił łagodnie, wciąż jeszcze mając w myśli Kaspera i swoją z nim rozmowę.

— O, spalić tego ciemnięcę, za naszą wszelką krzywdę zemsta! zemsta! — wołała Marysia i zachłystywała się płaczem. Krowa była już oskubana, leżała chuda, sina, niemal fioletowa na mokrym stole.





Marian Niewiarowski

## ZACZAROWANA TOKARNIA

N atychmiast zebrali się wszyscy. To, co się zdarzyło, było tak niesłychane, że zakrawało na skandal. To po prostu bezczelność z jego strony! Kto to słyszał? I co on sobie myśli, tak bezkarnie drwić z autorytetu inżyniera? A buchalteria nie może sobie dać rady z obliczeniem!... Cała dotychczasowa kalkulacja bierze w łeb!... I jak tu teraz utrzymać porządek w jego karcie, gdy jego zarobki coraz bardziej wzrastają?

Najwięcej denerwował się inżynier Gruszczyński:

— Panowie — czy wiecie, co wynika z jego karty roboczej?...

Wszyscy z obawą spojrzeli na jasną dotychczas, a teraz pełną zagadek żółtawą kartę pracy, w której kryła się tajemnica.

— Czy wiecie co to znaczy? — to wszystko jest buda, nonsens, chimera! Nie ma człowieka, który by mógł w tak krótkim czasie wykonać podobną operację. Kogo on chce naciągać? Nie ma żadnego wykształcenia technicznego, ledwo dorwał się do maszyny, a już chce pokazać, że jest mądry. Ja nie uznaję takich obliczeń. Tu musi być jakiś błąd!

Inżynier rzucił z pasją kartę na stół.

Oburzeni byli bowiem wszyscy. Jeżeli inżynier nie wierzy, to dlaczego ma wierzyć majster? A jeżeli majster nie wierzy, to dlaczego ma wierzyć brygadier? A jeżeli brygadier nie wierzy, inżynier nie wierzy, majster nie wierzy i nikt nie ma zaufania do tej karty, to z jakiej racji kalkulator obliczył na podstawie danych z kontroli produkcji, że ten „wyrodek” robi w ciągu jednego 8-godzinnego dnia więcej, niż dotychczas pięć osób? Przecież to niesłychane, że by jeden człowiek wykonał na jednej maszynie tyle pracy, ile na pięciu maszynach wykonuje pięciu ludzi?

I wszyscy spojrzeli na Szymanka, kalkulatora.

Wtedy padł nieśmiały projekt:

— Panowie — proponuję udać się na miejsce jego pracy. sprawdzimy, czy to wszystko prawda...

I poszli.

Nie jeden z nas stojąc na stacji i oczekując przybycia lub odjazdu pociągu, obserwował nieraz kolejarza, który ze sprawnością sportowca, w chwili przyczepiania wagonu sypialnego ustawiał się między jednym wagonem a drugim i, gdy z niepokojem patrzył na mające za moment nastąpić zderzenie — on jednym zrecznym ruchem chwycił zwisający łańcuch jednego wagonu i zaczepił o drugi. Wychylał się następnie i wychodził spod między wagonów, spokojny i nienaruszony.

To bowiem, co ochroniło go od niechybnego zgniatania, stanowi nieodłączną część każdego wagonu i nosi nazwę zderzaków. Jest to gruba rura, wewnątrz której znajduje się stalowy trzon, na jego zaś końcu osadzona jest sprężyna, łącząca trzon z widoczną na zewnątrz tarczą. Wagon przy łączeniu i doczepianiu nie zderza się ze sobą bezpośrednio, gdyż chroni je od tego właśnie zderzak, zaopatrzony w tarczę. Od ilości taboru kolejowego zależy między innymi rozwój komunikacji. Od punktualnej dostawy stali, żelaza i węgla do fabryki produkującej wagony — zależy między innymi ilość taboru kolejowego. Produkcja zaś wagonów zależy m. in. od każdej poszczególnych obróbki tokarskiej, czyli operacji dokonywanej na każdej części, z której składa się wagon.

Robotnik, który tak zdenerwował inżyniera Gruszczyńskiego, dokonuje właśnie takiej jednej drobnej na pozór operacji na takim właśnie trzonie zderzakowym.

Bierze on taki nieobrobiony trzon grubości 75 mm, nakłada na tokarnię, dostawia nóż, puszcza motor i ścina wąskie strużki metalu z trzonu. Gdy patrzysz na to, wydaje ci się, że za chwilę z całego trzonu nic nie zostanie tylko drobne, srebrne wióry. Ale oto sprawną ręką robotnika chwytają kierownicę tokarni, zatrzymuje motor, odstawia nóż i wyjmuję obrobiony trzon. Na przestrzeni kilkunastu centymetrów stracił on 21 milimetrów i teraz grubość jego w tym miejscu wynosi już 51 mm. Lśni teraz gładko, nieskazitelnie białym metalem.

Robotnik stojący przy tokarce, pracuje ze skupioną uwagą. Obserwuje jego ruchy i uderza mnie, że są jak gdyby obliczone i uzgodnione z chodem maszyny.

W tej harmonii ruchów rąk i ciała z pędem i miganiem obrotów tokarki tkwi swoje, urzekające piękno — i przez chwilę zastanawiam się, co też mogło być powodem wyprowadzenia z równowagi inżyniera Gruszczyńskiego, przywykłego do przedwojennego, kapitalistycznego stosunku do procesów produkcji, do bezdusznego „roboty” przogupiającej maszynę! Czy czasem niespokojne, rytmiczne tempo pracy tego robotnika, który pokochał swoją tokarnię, jak tylko robotnik pokochać może swoją fabrykę i warsztat, i wydobyl z swojej maszyny to, co ona zazdrośnie ukrywała? Czy czasem nie fakt, że jej możliwości produkcyjne nie mogły dojrzeć dyktowane oko, a dostrzegło zwykłe oko, odkryły zwykłe ręce prostego robotnika?...



Uczeń-robotnik

Fot. A. Bogusz — Katowice

Po chwili, gdy wkracza do warsztatu, wiązuje się krótki, ale pełen napięcia dialog:

Mówi inżynier Gruszczyński:

— Pan śmie twierdzić, panie Łukowski, że pan w ciągu dwóch minut obrabia jeden trzon? Czy pan wie, że według pana danych wynika, że pan jeden wykonuje tyle na jednej maszynie, ile przedtem musiało wykonywać sześć osób na sześciu oddzielnych tokarkach? Jak to jest możliwe? I kogo pan chce oszukać?

Mieczysław Łukowski, tokarz — przodownik pracy Fabryki Maszyn Ciągniętych przy Zakładach Cegielskiego w Poznaniu, odpowiada spokojnie, ale z godnością:

— Nikogo nie oszukuję. Obrabiam jeden trzon w ciągu dwóch minut, a jeżeli pan nie wierzy, mogę pokazać...

Przy tokarni stoją wszyscy, których Łukowski wyprowadził z równowagi swoim postępkami. A więc, oprócz inżyniera Gruszczyńskiego, który nie może uwierzyć, aby zwykły robotnik mógł być zdolny do wprowadzenia ulepszeń w pracy, inżynier Guła, zadowolony i z ukontentowaniem patrzący na skromną postać robotnika, kalkulator Szymanek, który nie może wyjść ze zdumienia, że jakiś bliżej nieznaną Łukowski, karta rejestracyjna nr 726, stał się nagle ośrodkiem zainteresowań wszystkich — Łukowski, który psuje mu poza tym porządek w obliczaniu zarobków i kalkulacji. Opodal stoi uśmiechnięty kierownik robót, inżynier Robak.

— No, jeżeli tak, niech pan puści motor, zobaczymy...

Jeden z obecnych trzyma stoper w rękę, drugi — notatnik, inżynier Gruszczyński oczekuje niechybnej kompromitacji nieznoszonego nowatora, obserwuje z niedowierzaniem jego ruchy. Robotnicy przy innych maszynach, najbliżsi sąsiedzi, spoglądają z zaciekawieniem w ich kierunku.

Powoli mijają minuty, struga metalu opada spod tokarki na ziemię. Wreszcie słychać głos:

— Panowie, minęły czterdzieści cztery minuty...

Obok tokarni w idealnym porządku ułożona sterta trzonów, jeden na drugim, rzędami. Łukowski wyłącza motor, wyjmując ostatni trzon...

Członkowie komisji nachylają się i jeden z nich liczy.

— Razem 22 sztuki, wypada na jedną sztukę dwie minuty...

Pokazuje wszystkim stoper, a potem chowa go do kieszeni. Wszyscy, oprócz inżyniera Guły, mają niewyraźne miny. Najbardziej skłopotana ma inżynier Gruszczyński.

\*\*\*

— Czy może mnie pani połączyć z warsztatem, w którym pracuje ob. Łukowski?

— Jak on się nazywa?

— Łukowski Mieczysław, przodownik pracy, to ten co wykonał 706 proc. normy...

Chciałbym z nim porozmawiać...

— Ja nie wiem, proszę pana. Tu pracuje tylu ludzi, nie mogę pana połączyć...

— Ale on wykonał 706 proc. normy, on musi chyba być znany! Specjalnie przyjechałem z Katowic, żeby z nim porozmawiać...

— Bardzo możliwe, proszę pana, ale przykro mi, nie mogę...

(Sciszony głos):

— Słuchaj Jadzia, nie wiesz ty, gdzie tu pracuje Łukowski? Jakiś gość z Katowic chce z nim gadać, a nie wiem, co to za jeden...

— Nie, proszę pana, nie mogę panu powiedzieć. Może pana przełączyć do personalnego, oni tam chyba wiedzą...

\*\*\*

— Pan chciał mówić z panem dyrektorem Murzynowskim? To omyłka proszę pana, pan dyrektor jest pod innym numerem...

— Nie proszę pani, chciałem mówić z Łukowskim, z tokarzem, który wykonał siedemset...

— Z tokarzem? Z jakim tokarzem?

— Z tokarzem Łukowskim, proszę pani, Ł jak Łucja, y — jak Ypsilon, ka — jak Karol, o — jak Olga...

— Aha — zaraz zobaczę, który to jest ten Łukowski...

— Czy pan wie, gdzie on pracuje?

— Wiem.

— Gdzie?

— U Cegielskiego...

— Tak ale tu pracuje blisko dziesięć tysięcy osób...

— Ale on jeden wykonał 706 proc. normy!

— Ach, to o tego pana chodzi? Zdaże się, że w tłoczni. Niech się pan połączy z tłocznią.

\*\*\*

— Czy jest tam u was tokarz Łukowski, który wykonał 706 proc. normy?

— Owszem, jest taki.

— Poproście go do telefonu.

\*\*\*

— Halo, czy obywatel Łukowski?

— Tak jest.

— Przyjechałem z Katowic, z radia, chciałem z wami pomówić.

— Bardzo chętnie. Przyjdźcie do mnie, zobaczcie, jak pracuje moja tokarka.

\*\*\*

Za parę minut jestem na wartowni przy wejściu do Cegielskiego. Znow krótkie poszukiwanie Łukowskiego, bo nikt nie o nim nie wie, ale w końcu docieram do tłoczni.

— Widzicie ten trzon?

— Ale ciężki... Ile on waży?

— 25 kg.

Zgrabnym ruchem chwytam trzon, lewą ręką odkręcam korbę tokarni, wkładam trzon, przykręcam. Drugą ręką przybliżam kiel — jeszcze jeden ruch — motor puszczonej, tokarnia rusza. Nóż wrzyna się w stalową powłokę trzonu i strużki cienkiego metalu zaczynają opadać na warsztat. Po dwóch minutach tłoczni trzona na przestrzeni 15 centymetrów straciła na swej grubości 21 milimetrów.

Szybkim ruchem Łukowski odkręca korbę, wyjmując trzon i kładzie go obok maszyny, gdzie leżą już ułożone inne, równie ciężkie, lśniące i gładkie.

— Ale to u was piorunem idzie — mówię szczerze zdziwiony — co to? Lepsza maszyna, czy jak?

— Nie, taka sama, zwykła tokarka Zieleńskiego. Tylko wiecie, wprowadziłem pewne ulepszenia, i odtąd pracuje się zupełnie inaczej...

— A co to za ulepszenia?

— Ano, dotychczas, wiecie, tokarnie sły na nożach z huty „Bałdon” i myśmy te noże też zwali „bałdonami”. Niech się moi koledzy z „Bałdonu” nie obrażają, ale te noże były do niczego. Ścierały się szybko, a do tego nie wytrzymały zwykłego obrotu maszyny i ciągle trzeba było je ochładzać. Do tego ochładzania służył specjalny zbiornik z wodą, umieszczony nad maszyną, i z małego kranika ciągle kapala woda. Diabli mnie brali, gdy patrzyłem na ten zbiornik i kranik, i na tę ciekącą wodę. Stałem, wiecie, godzinami nad tokarnią i myślałem, w jaki sposób usunąć ten kranik z wodą, żeby nie trzeba było ochładzać noża i nie pilnować ciągle, aby się czasem wskutek obrotu maszyny nie spalił. Ot, myślałem sobie, jakby tego nie było, to bym wtedy skró-

cił czas potrzebny na otoczenie jednego trzonu i produkcja poszłaby jak nigdy...

— No i co wymyśliłicie?

— Nieraz pomyślałem sobie: może spróbować z nożami, które my nazywamy „widie”. Na naszych tokarniach nie używano ich wcale, ale to mocna i dobra stal. Pomyślałem sobie, co szkodzi? Wstawię do mojej tokarni taką „widie”, może pójdzie lepiej, w każdym razie „widia” nie potrzebuje chłodzenia...

Ale inżynier Gruszczyński kategorycznie mi tego zabronił, mówiąc, że na tych tokarniach nie używa się „widli” i tak dalej. Zagroził, że jeśli wstawię „widie”, to mnie przesunie na inną robotę...

— Co to za inżynier, który nie pozwala wprowadzać nowości i pomysłów?

— Bieda cała w tym, że on sam od trzech lat chce coś wynaleźć i nie może. Toteż, jak widzi, że któryś robotnik ma jakiś pomysł, jest zazdrosny i nie może sobie darować, że sam tego nie zrobił.

— Ah, tak. A wam pozwolił w końcu?

— Nie.

— No i co zrobiliście?

— Kupiłem sobie za własne 600 złotych taką „widie” i bez jego wiedzy wstawiłem do tokarni...

— A to dopiero! No i jak poszło?

— Sami widzicie, od razu przekroczyłem normę, gdyż nie potrzebując już ochładzać noża, mogłem puścić maszynę na większe obroty i osiągnąć maksymalną wydajność. Osiągam przeciętnie powyżej 500 proc. normy, a niedawno miałem 706 proc.

— Czy to tylko „widia” pomogła?

— Nie tylko — Łukowski uśmiecha się porozumiewawczo.

— A co jeszcze?

— Widzicie ten kiel?

— Widzę.

— Widzieliście, jak się kręci podczas pracy maszyny?

— Widziałem.

— Otóż ten kiel był przedtem stały, a ja wprowadziłem obrotowy.

— A co za różnica?

— Ogromna. Bo przedtem ten kiel, tak samo jak te cholerne „bałdony” zagrzewał się, bo nie wytrzymywał obrotów maszyny i musiałem go stale ochładzać wodą, tracąc na to czas i jednocześnie nie mogąc zwiększyć wydajności.

— No i co zrobiliście?

— Wyjąłem go i wmontowałem na wałek; teraz obraca się razem z trzonem. Nie potrzebuje już ochładzania, bo się nie zagrzewa i wytrzymuje największe obroty maszyny.

— A to dopiero! — I to wszystko?

— Nie, nie wszystko.

— A co jeszcze?

— Która u was godzina?

— Już piętnaście po drugiej.

— Ot, widzicie, skończyłem pracę o drugiej, a teraz mój następca, który od drugiej pracuje ze mną na zmianę, miał rozpocząć od razu po mnie, a już minęło piętnaście minut, a on się jeszcze kręci. W ciągu 15 minut ja robię 7 trzonów...

Oglądam się w lewo. Rzeczywiście stoi tam robotnik, który pracuje na zmianę z Łukowskim, ale nie rozpoczął pracy.

— Patrzcie, jak on będzie pracował!

Nim robotnik ten przygotował się do pracy, minęło jeszcze 5 minut. Wreszcie podchodzi do maszyny i puszcza ją w ruch. Dopiero wtedy bierze trzon, zatrzymuje go raz drugi maszyną i przykręca korbę. Ale i za przykręcenie korby, na co Łukowskiemu wystarczał jeden ruch lewą ręką, ten traci niepotrzebnie czas i energię skomplikowanymi przykręcaniami przy pomocy obydwu rąk, raz lewej, raz prawej. Trwa to prawie minutę. Potem zaczyna toczyć i znowu trwa to dłużej niż u Łukowskiego. Wreszcie kończy i wyjęcie trzonu z maszyny znowu stało się skomplikowaną czynnością, na którą traci o wiele więcej czasu niż Łukowski. Po wyjęciu rzuca trzon — nie kładzie, jak Łukowski, ale właśnie rzuca na ziemię, gdzie wkrótce powstanie kupa leżących w nieładzie wałków. Ruchy ma nie obliczone, iak gdyby nie uzgodnione z chodem maszyny.

— Dlaczego pan rzuca te trzony, a nie układa jak Łukowski?

— A, ja je potem układam.

— Kiedy potem?

— No, jak skończę robotę.

— Jak to, to wy zostajecie po pracy zufa?!

— Ale skądże znowu? Godzinę przed zakończeniem pracy zatrzymuję maszynę i układam na ziemi trzony.

— A ile trwa takie układanie?

— Godzina, a niekiedy więcej, to ciężka robota.

— To po co robicie podwójną robotę, przecież lepiej od razu trzony układać na ziemi i nie tracić tyle czasu...

— Ja się już tak przyzwyczailam! Wszyscy tak robią, to i ja też.

— Ale Łukowski tego nie robi i w tym czasie, kiedy pan układa, czyli w ciągu jednej godziny, on wyrabia 30 nowych trzonów...

— Eh, Łukowski to co innego...

Patrzę na Łukowskiego. Uśmiecha się do mnie i nie widzę, żeby on był „co innego”. Jest to po prostu dobry, miślący robotnik, który kocha swoją maszynę i swoją fabrykę.



W. Jermilow

# Nowe radzieckie powieści o wsi

W związku z przyznaniem stalinowskich nagród w dziedzinie literatury i sztuki za rok 1948 w „Literaturnoj gazecie” ukazało się omówienie najwybitniejszych nagrodzonych książek. Zamiast fragmentu artykułu W. Jermilowa, poświęcony nowym powieściom radzieckim o życiu i ludziach wsi.

**W**iele książek napisanych w ubiegłym roku, a odznaczonych obecnie nagrodą stalinowską mówi o kolchoźniczej wsi w okresie powojennym, o jej nowych, kulturalnych i gospodarczych osiągnięciach, o twórczym i nowatorskim nastawieniu, porównującym za sobą najszerze warstwy kolchoźników, o nowych przodujących ludziach kolchoźniczej wsi, o bolszewickich prowadzących i wychowujących nowe aktywności i dających ludziom bodźca do tworzenia i budowania.

Najlepsze książki ubiegłego roku, poświęcone sprawom kolchoźniczej wsi, tworzą nowy etap w artystycznym opisywaniu życia naszych radzieckich rolników. Literatura współczesna, mówiąca o rzeczywistych, życiowych procesach kraju, wskazuje na fakt, że coraz bardziej gina różnica między miastem i wsią, przeciwieństwa między pracą umysłową a fizyczną.

Swoboda przestrzennych stepów kubańskich oraz pogodna piękno życia w stanicach składają się na artystyczny kolorystyczny obraz narodowej książki, jaką jest „Kawaler Złotej Gwiazdy” Babajewskiego.

Powieść ta mówi o ujawnianiu się uzdolnień, o najlepszych cechach „zwykłych ludzi”, którzy nauczyli się myśleć i postępować po państwowemu, o troskliwych gospodarzach, organizatorach i działaczach, którzy umieją marzyć o przyszłości i budować ją, o ludziach, przed którymi partia odkrywa nowe, nieograniczone perspektywy pracy twórczej. Udział całej stolicy w utworzeniu i w wykonaniu planu pięcioletniego, wspólna budowa rejonowej stacji hydraulicznej, powstawanie nowych fabryk na wsi, świadczące o stałym zaczerpaniu się granic między miastem a wsią, walka nowego ze starym, zwycięstwo nowego — oto treść tej interesującej, frapującej powieści. W takich pięknych scenach jak np. omawianie planu pięcioletniego widzimy naszą radziecką demokrację w działaniu. Zwykli ludzie radzieccy rozstrzygają najważniejsze zagadnienia państwowe aktywnie i praktycznie, przechodzą szkołę działalności państwowej, państwowego myślenia, decydują o swym losie, uczą się nadawać mu kierunek pod przewodnictwem partii bolszewików.

Główny bohater powieści Siemion Tutiłow zostaje z prostego kolchoźnika działaczem państwowym, przywódcą ruchu nowatorskiego blisko związanym z życiem całego narodu, nowym typem pracownika państwowego, stworzonego przez partię. Babajewski świetnie wykazuje, że każdy etap duchowego rozwoju naszych ludzi, ich wyniki w pracy związane są ściśle z pogłębieniem patriotyzmu radzieckiego, albo z uświadomieniem patriotyczne i twórcze oraz aktywność zawsze wzrastają razem, nierozłącznie.

Mówi o tym wyraźnie również powieść Malcewa: „Z całego serca”. Istotnie — z całego serca, z ujmującą szczerością opowiada młody pisarz o ludziach współczesnej kolchoźniczej wsi, którzy wytrwale dozwolili pracy łączyć ze śmiałością myśli uczonego-nawigatora. Radością zespołowej pracy owiana jest postać Grudi Wasilowej. W tej prostej, nieco nieśmiałej dziewczynie rosyjskiej kryją się złoża olbrzymiej, twórczej siły. Radzieckie życie (szkoła, komsoł, kolchoz) sprawiło, że zrodziło się w niej umiłowanie twórczej pracy, twarda wiara w możliwości realizacji najśmielszych pomysłów i zamiarów.

U podstawy konfliktu powieściowego nie leżą w tym wypadku bardzo osobiste, indywidualne interesy. W sporze ze swym mężem Radionem Grudą walczy o interesy całego kolchozu z indywidualizmem i egoistyczną próżnością. W powieści rozwinięta jest w piękny sposób zasadnicza myśl, że stosunek do pracy określa całe życie człowieka, wszystkie, zdawałoby się, nawet osobiste jego sprawy.

W powieści Malcewa spotykamy dzielnych, pięknych, cieszących się z życia ludzi. Autor wykazuje, jak to po dawnym odosobnieniu i ograniczonej przyszłości nowy okres życia wsi, okres radziecki. Pokazuje on nowe cechy zespołowej pracy, jej związek z nauką, z postępową agrobiologią.

Dlatego też ważną jest napisana z dużym talentem książka W. Safonowa: „Ziemla w kwiatkach”. Zawarta jest w niej w ogólnych zarysach historia nauki o gospodarstwie rolnym. Demaskuje ona zakłamanych zwolenników Mendla i Morgana, w dostępnej formie zaznacza czytelnika z pracami Timiriazewa, Dokuczajewa, Williamsa, Miczurina, Łysienki.

Znaczną część książki Safonowa poświęcono jest osiągnięciom przodujących kolchoźników, Bohaterów Pracy Socjalistycznej, którzy swą pracę na roli związali nierozdzielnie z nauką Miczurina. Szczególnie cennym jest w tej książce to, że udało się jej autorowi podkreślić masowy charakter nowatorstwa w naszym kraju. Osiągnięcia naszych kolchoźników nie są jakimś cudem, niedoścignym dla zwykłego śmiertelnika. Każdy kolchoźnik może uzyskać takie same wyniki, jakie uzyskali bohaterowie „Ziemla w kwia-

tach”, jeśli przyswoi sobie osiągnięcia postępowej nauki.

Największą zasługą Łaptiewa, autora powieści „Zorza”, jest to, że udało mu się prawdziwie, z wielkim prawdopodobieństwem artystycznym pokazać kierowniczą rolę partii na wsi. Z wyraźną życiową konkretnością oraz z wewnętrznym przekonaniem pokazał on wielką umiejętność wychowywania ludzi, jaką odznacza się nasza partia. Pokazał on cierpliwe tworzenie przez nią nowych kadr, nadawanie kierunku ich pracy, pomaganie każdemu człowiekowi w odkrywaniu najlepszych jego skłonności.

Bez względu na to, jaka „zapadła dziura” — jak to się mówiło dawniej — staje przed nami w utworach naszych pisarzy — zawsze widzimy kipiący war życia i budowania, wszędzie ludzie radzieccy mają poczucie niezwyczajnej szerokości naszego życia. Mała abchaska wioszczyzna Saken („Wiosna w Sakenie” G. Gulla) oddala się od całego świata wartkimi rzekami i strumieniami odnogami gór Kaukazu. Dojazd do niej jest bardzo trudny. Mimo to jednak w tym malutkim Sakenie, przylepionym niby orle gniazdo do wysokich gór, ludzie żyją swoistym, oryginalnym, a zarazem jedynym, radzieckim życiem. Interesują ich te same problemy, które interesują wszystkich ludzi radzieckich, a praca ich jest w takim samym stopniu przesycona miłością do wielkiej Ojczyzny, która macedo-ryńska troska otacza Saken i umie z jego półdzikich, nikomu nieznanym mieszkańcom zrobić budowniczych komunizmu, którzy chciwie przyswajają sobie kulturę i z każdym dniem wznoszą się na coraz to wyższe stopnie duchowego rozwoju. W malutkiej częstotce, „w odrębności i oddzielności”,

Krystyna Michalik Nedelković

## Upadek poety amerykańskiego

**C**arl Sandburg, znany poeta amerykański, który przed 30 laty więcej laty uchodził za godnego następcę wielkiego W. Whitmana, dziś jako 70-letni starzec dziwnie niespodzianką płała i krytykom i czytelnikom amerykańskim. Z końcem ubiegłego roku miłośnicy literatury ukazało się jego najnowsze dzieło prozą pt. „Remembrance Rock” (Skała Wspomnień), które co bardziej krytyczne umysły wprawilo w pewne zakłopotanie. Wprawdzie Sandburg już poprzednio zwracał się do prozy, pisząc pseudo-histories, pseudo-poetyckie rapsodie prozą, jak np. „Mity z czasów po Lincolnie” (Myths after Lincoln), czy też biografię Shermana (Sherman, the Fighting Prophet), ale w Skałce Wspomnień dał coś całkiem innego. Na 1067 stronach rozciąga przed nami wizję dziejów narodu amerykańskiego poprzez stulecia, wybierając epizody (dość dowolnie, żeby nie powiedzieć nieudolnie) z życia wyimaginowanych, ale zawsze dziwnie podobnych postaci, tak mężczyzn jak i kobiet, mających uosabiać wszystkie najdotkliwsze w narodzie amerykańskim, całą jego tężyźnię i siłę. Zaczyna się to przydługą, a mocno wyidealizowaną epopeją amerykańską dziejami purytańskich przybyszów

Albert Maltz

## Naród Stanów Zjednoczonych zwolennikiem pokoju

Tylko człowiek, który stracił rozum, może nie dostrzec faktu, że w moim kraju są wpływowi siły, pragnące rozpocząć agresywną wojnę. Z drugiej jednak strony nie ulega żadnej wątpliwości, że wielkie masy narodu amerykańskiego nie pragną wojny. Tak więc walka, która toczy się obecnie w Stanach Zjednoczonych, jest walką między tymi, którzy mają nadzieję zaprowadzić u nas reżim państwa policyjnego i przemienić naród w

Witold Jedlicki

## Filozofia po marksistowsku

Książka Georges Politzera \*) stanowi stenogramu zbioru wykładów wygłoszonych przez autora na Paryskim Uniwersytecie Robotniczym w latach 1935—36. Korekta stenogramu, służącego za podstawę do powojennego wydania została przeprowadzona przez Arnosta Kolmana i Paula Langevina. Nie mógł tego dokonać sam autor, w bestialski sposób zamordowany przez Niemców.

Książka jest przeznaczona dla czytelnika robotniczego i to raczej dla czytelnika klasowo uświadomionego. Zadaniem jej jest w pierwszym rzędzie zapoznać czytelnika z ideologią marksistowską i pouczyć go, jak ma zwalczać argumenty ideologiczne wroga. Cel ten jest realizowany poprzez wyjątkowo jasny i przystępny wykład, w którym autor świadomie rezygnuje nie tylko z ambicji twórczych, ale nawet z przesadnie precyzyjnego formułowania pojęć na rzecz wartości dydaktycznych i instruktywnych książki. I to jest największa zaleta książki, zaleta, która sprawia, że książka może być przeczytana i zrozumiana przez każdego.

Dalszą zaletą jest przeprowadzenie konsekwentnego podziału wszystkich stanowisk w ontologii i epistemologii na idealistyczne

przejawia się „wielka powszechna sprawa”, sprawa naszego życia z jego patosem i wytrwałym dążeniem do komunizmu. Tak więc powieść o małym Sakenie staje się powieścią o wielkim Związku Radzieckim, o prawach przyjaźni i braterstwa wszystkich narodów radzieckich.

W różnych językach wielonarodowościowej Ojczyzny opowiadają pisarze o współczesnych nam ludziach, o ich sławnych, bohater-skich dniach powszechnych. „Ludzie naszych dni” to tytuł powieści kirgiskiego pisarza Tuhelbaja Sydybekowa. Jest ona szerokim, epickim obrazem życia jego narodu. Przy pomocy przekonujących, realistycznych obrazów wyraził Sydybekow osiągnięcia w pracy kirgiskich kolchoźników, opowiedział o niebywałym rozwoju wszystkich duchowych sił swojego narodu, jednego z narodów Związku Radzieckiego. Powieść jego zaczyna się wiadomością o wybuchu wojny, która zastaje bohaterów, zwykłych kirgiskich kolchoźników, w rozgarze ich twórczej pracy. Teraz, gdy zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana, „każdy powinien zostać bohaterem”. Pokazując sławne osiągnięcia swoich bohaterów, prawdziwych tytanów pracy. T. Sydybekow prowadzi czytelnika na ciągnące się aż po horyzont kolchoźnicze pola, do kuźni, gdzie do późna w noc niezmordowanie pracują ludzie podobni do „wszechwładnych czarodziejów”.

„W mojej pracy powieściowej i dramatycznej prowadzącej mnie do celu latarnią morską była proza rosyjska, której cała moja twórczość wiele zawdzięcza” — mówi T. Sydybekow.

Rok 1948 był przełomowym rokiem w życiu radzieckich krajów nadbałtyckich. Jesie-

nią 1947 roku powstał pierwszy kolchoz estoński, a w okresie siewów wiosennych było ich już kilkadziesiąt na terenie całej republiki. Wkrótce cyfra kolchozów zaczęła wyrażać się nie dziesiątkami a setkami. Droga kolchoźników estońskich została ułatwiona dzięki bogatym, wieloletnim doświadczeniom kolchoźników Rosji, Białorusi i Ukrainy. Przejście od starego ustroju gospodarczego, opartego na własności indywidualnej do nowego, opartego na rozsądnych formach kolektywnego gospodarowania stanowi treść powieści Leberechta: „Światło w Koordi”.

To, o czym nie mógł marzyć poszczególny chłop, okazuje się rzeczywistością w ustroju kolchoźniczym. Wiosna Koordi leży w pobliżu Zmijowych Bagien, które pożary niejedno życie ludzkie. Niejednokrotnie już w przeszłości starały się ludzie osuszyć te bagna, lecz zawsze kończyło się to ich klęską. Obecnie przeciwko bagnetom występują już nie słabe jednostki, ale zorganizowana grupa ludzi, prowadząca stałą ofensywę.

Temu samemu tematowi przeobrażeń starej wsi poświęcona jest powieść pisarki łotewskiej A. Sakse: „W górę”. W realistyczny sposób pokazuje ona twórczą drogę łotewskiego chłopca w górę, do szczytów socjalizmu.

Kulacy bandyci starają się zastraszyć budowniczych nowego życia prowokacyjnymi pogłoskami, strzałami zza węgła i sabotażem. Bezwzględny opór wrogów jest jednak jedynie bezwzględnością i bezzłaską skazanych na zagładę. Pokazując trudną, lecz też zarazem zwycięską walkę nowego ze starym A. Sakse pokazała piękno i siłę ludzi nowego świata, których nie można ani powstrzymać, ani zastraszyć.

A zatem o to chodziło temu niegdyś wybitnemu poecie, którego Dym i Stal (Smoke and Steel) czy inne poematy słusznie zachwyciły nas swą siłą poetyckiej ekspresji! Po prostu woda na młyn obecnych władców imperializmu amerykańskiego. Bo tylko chęć schłabienia najgorszym instynktom zaborczego narodu mogła podyktować te peany na

potulny tłum, oraz tymi, którzy pragną zachować dla narodu jego demokratyczne prawa rozstrzygnięcia o własnym losie.

Niejednokrotnie w naszej historii czynione były próby zdeptania demokracji. Mimo to jednak naród amerykański zawsze stawiał zwycięski opór tym próbom. I choć nadeszły obecnie trudne dni, błędem byłoby nie widzieć, jak wielkie rezerwy demokracji kryją się w narodzie amerykańskim.

część tężyźni i witalności Ameryki, dążącej do panowania już nie od Atlantyku do Pacyfiku, jak przed stuleciami, lecz do hegemonii nad całym światem. Metna mistyka mesjanistyczna starego wieszca ma te imperialistyczne zakusy wnieść na wyżynę chwalebnej misji dziejowej. Gdyby ta powieść-rzeka była tylko objawem sklerozy jednego pisarza, nie byłoby w niej nic groźnego. Nasuwa się jednak przypuszczenie, że jest ona sprytnym wyszkaniem obecnej koniunktury politycznej, tak przez samego Sandburga (który może liczy na sfilowanie atrakcyjnej książki) jak i przez jego wydawców. Taka książka (wydana dziś pod firmą Sandburga), co to za goebbelsowski trick propagandowy, by przekonać masy czytelników amerykańskich, że na nich obecnie spoczywa wzniosła misja niesienia światu prawa i wolności, amerykańska wersja kiplingowskiego „brzemienia białego człowieka” (the white man's burden)!

Dzisiaj niepodobna dostać w Ameryce ostatnich dzieł wielkiego Dreisera, bo dawno wyczerpane nie ukazują się ponownie, natomiast wydaje się taką gloryfikację zaborczości narodowej na 1067 stronach! Sandburg zresztą robi co może, by dłuższy swej powieści uczynić strawniejszymi; i tak zresztą używa naprzemian epizodów erotycznych, walk, awantur, anegdot ludowych, by tylko zainteresować czytelnika. Tak jak nie przypadkowi należy przypisać fakt, że John Steinbeck po swych niezapomnianych Grzechach Gniewu (Grapes of Wrath) przerzucił się w ostatnich powieściach do psychologicznych, silną erotyką zabarwionych dociekań (The Wayward Bus), lub do bezbarwnych legend z pseudo-folkloru indiańskiego.

Nowa książka Sandburga wśród obiektywniejszych krytyków amerykańskich spotkała się ze zdziwieniem graniczącym z niesmakiem, ale coż znaczy uczciwa krytyka literacka wobec reklam wydawców i masowych pism w rodzaju New York Herald Tribune?

i materialistyczne, a w metodologii na metafizyczne i dialektyczne. Szczególną ekspresją nacechowane są te wywody autora, w których demaskuje on próby stworzenia „trzeciej filozofii”, usiłującej dowieść nierozstrzygalności zagadnienia stosunku świadomości do materii. Również bardzo ekspresywne są te partie książki, w których autor dowodzi, że jedynie materializm operuje prawdziwie naukowym rozwiązaniem tego podstawowego dla filozofii problemu. Poltzer wykazuje równocześnie całkowitą nie-naukowość wszelkich teorii idealistycznych, oraz sprowadza genetycznie i merytorycznie idealizm do religii, od której różni się on jedynie bardziej zamaskowanym i sztucznie skomplikowanym wyłożeniem swoich tez. Doskonale też przeprowadza Poltzer uzasadnienie tez, stwierdzających, że światopogląd idealistyczny był właściwy ludziom nie-umiejącym sobie wytłumaczyć mechanizmu zjawisk, podobnie jak metafizyczny sposób myślenia właściwy ludziom, którzy nie potrafili się zorientować w bogactwie otaczających ich zjawisk, i których praca naukowa skierowana była w pierwszym rzędzie na czynność klasyfikowania. Na tym też szczególnie wyraziście zarysowuje się wyższość, postępowość i wyłączna naukowość zarówno materializmu jak i metody dialektycznej.

Obok zalet nie sposób nie zanotować braków i błędów książki. Najpoważniejszym wydaje mi się nieuwzględnienie wszelkich nowszych osiągnięć filozofii burżuazyjnej. Ostatecznie we Francji, w kraju najbardziej na świecie zarażonym najpotworniejszymi metnactwami idealistyczno-religijnymi w rodzaju Bergsona, Poincaré'go czy Maritaina, każdy marksista musiał być szczególnie przygotowany do zwalczania tych wszystkich teorii. Tymczasem w przypisach, zawierających objaśnienia wszystkich nazwisk i trudniejszych terminów ostatnie chronologicznie nazwiska filozofów burżuazyjnych to nazwiska Kanta, Hegla i Encyklopedystów. Podobnie w rozdziale o agnostycyzmie Poltzer wymienia jako jego twórców Hume'a i Kanta, nie wspominając ani słowem o wszystkich neopozytywistycznych wyrokach na „niesprawdzalność” tez marksizmu, wyrokach, wprawdzie szczących się nawiazywaniem do tradycji angielskiego idealizmu XVII i XVIII wieku, niemniej operujących już uowocześnioną argumentacją, i to argumentacją, która musi być zbita.

Ten błąd nie może jednak zmienić faktu, że książka Politzera stanowi bardzo pożyteczny wkład do wielkiej akcji szkolenia i uświadamiania klasowego mas robotniczych.

\*) G. Poltzer: Wykład filozofii. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949.



## „Walczyć trzeba wytrwale i codziennie”

Dnia 20 kwietnia br. wygłosił na plenum KC PZPR prez. R. P. Bolesław Bierut referat o zadaniach Partii w walce o pokój.

„O utrwalenie pokoju walczyć trzeba wytrwale i codziennie... trzeba twardo realizować linię Partii w kierunku izolowania i rugowania elementów klasowo wrogich, wytrwale i nieustępliwie umacniać pozycję klasy robotniczej i pracującego chłopca”.

Wrogle klasowo elementy występują do walki w najczulszych miejscach naszego aparatu państwowego i gospodarczego. Wystąpią na pewno do walki na odcinku wiejskim — teraz w okresie siewów wiosennych, w okresie wzmożonej pracy gminnych spółdzielni ZSCh, stacji i ośrodków maszynowych. Będą walczyły wszelkie środki o osłabienie naszej produkcji.

„Należy dotrzeć do środowisk, które nie zostały jeszcze przeorane naszą akcją na rzecz pokoju i należy sięgać wytrwale do olbrzymich rezerw, tkwiących w masach „kobietych” w mieście i na wsi”.

Takie zadanie stoi przed Partią Robotniczą, ale równocześnie takie samo zadanie stoi również przed ruchem ludowym, który właśnie teraz, kiedy wkracza w nowy rok produkcyjny, musi przekonać masy chłopskie, że walka o produkcję jest równocześnie walką o pokój.

### Reżyserzy

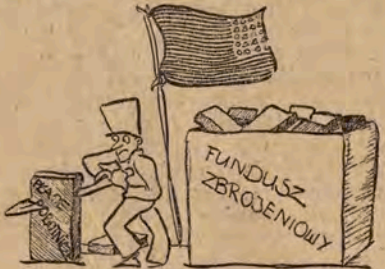
Monopolisci amerykańscy bardzo daleko posunęli już swój cynizm. Wówczas gdy setki milionów ludzi ze wszystkich krajów świata domagają się zachowania pokoju, oni chcą przekonać swoje społeczeństwo o konieczności wojny, rozpatrując ją jako środek odsuwający groźbę kryzysu od Stanów Zjednoczonych. Strach przed kryzysem jest dla nich większy niż strach przed odpowiedzialnością moralną za nową katastrofę wojny, bo kryzys gospodarczy to kompromitacja systemu kapitalistycznego, bo kryzys to wzrost nastrojów rewolucyjnych wśród mas pracujących. Z perspektywą więc wojny montowali plan Marshalla, z perspektywą wojny reżyserują pakt północno-atlantyczny.



Najjaskrawiej obnaża ich postawę postępowanie w strefach zachodnich Niemiec. Cztery potężne trusty amerykańskie: Dillon Read and Co, General Motors, Standard Oil of New Jersey i Republic Steel Corp. skupiły w swych rękach 38 proc. akcji niemieckiego przemysłu. Coraz częściej można tu natrafić na amerykańsko-niemieckie towarzystwa akcyjne. Wstrzymuje się akcje demontażu niemieckich zakładów przemysłowych, co więcej — przewiduje się potężne inwestycje w przemyśle niemieckim. Odbudowa tego przemysłu według intencji dysponentów z Wall Street ma być nastawiona na to, by dobrać kraje należące do paktu atlantyckiego. Szumnie zapowiadana w planach Marshalla odbudowa Zachodniej Europy staje się odbudową przede wszystkim wojennego przemysłu niemieckiego. W czteroletnim planie gospodarczym wschodnich Niemiec przewiduje się, że 43% niemieckiego eksportu będzie kierowane do krajów marszałkowskich. Możemy się domyślać, że ten eksport nie będzie się przychylnie do wzmocnienia warunków na pokój, bo kierujące nim trusty i monopole amerykańskie z dwóch alternatyw kryzys czy wojna — wybierają i dzisiaj, jak robili to od dawna, alternatywę drugą. Zmieniła się jednak sytuacja. Masy pracujące świata nie proszą dzisiaj o zachowanie pokoju, jak powiedział w swoim przemówieniu na Kongresie Paryskim Joliot-Curie, one tego żądają i mają dostatecznie duże siły poza sobą, żeby te żądania zostały spełnione.

### Rząd Trumana wobec robotników

Wydawany w Stanach Zjednoczonych w języku polskim „Głos Ludowy” zamieszcza nader znamienne informacje. „Redukując w dalszym ciągu robotników z pracy, zarząd Ford Motor Company oznajmił, że nie da podwyżki w tym roku, i że zwiększy „Speed up” dla zmuszenia robotników do produkowania 22 procent więcej, co właściwie w skutku będzie obniżeniem płac... Oznajmienie powyższe wysłał listownie każdemu robotnikowi John S. Bugas, były agent FBI, a obecnie dyrektor (do spraw) stosunków robotniczych w kompanii Forda. List mówi, że kompania nie będzie rozważać żadnej podwyżki w układach o nowy kontrakt, które nie rozpoczyna się wcześniej, jak w maju lub w czerwcu... Postępowi przywódcy (związków zawodowych) przewidują, że obcięcie płac... będzie



Wydawany w Stanach Zjednoczonych w języku polskim „Głos Ludowy” zamieszcza nader znamienne informacje. „Redukując w dalszym ciągu robotników z pracy, zarząd Ford Motor Company oznajmił, że nie da podwyżki w tym roku, i że zwiększy „Speed up” dla zmuszenia robotników do produkowania 22 procent więcej, co właściwie w skutku będzie obniżeniem płac... Oznajmienie powyższe wysłał listownie każdemu robotnikowi John S. Bugas, były agent FBI, a obecnie dyrektor (do spraw) stosunków robotniczych w kompanii Forda. List mówi, że kompania nie będzie rozważać żadnej podwyżki w układach o nowy kontrakt, które nie rozpoczyna się wcześniej, jak w maju lub w czerwcu... Postępowi przywódcy (związków zawodowych) przewidują, że obcięcie płac... będzie

# FAKTY i ZDANIA

wykorzystane przez inne korporacje, jako narzędzie przeciwko żądaniom podwyżki...

Cały ten proces dokonywał się w tym samym okresie, gdy Stany Zjednoczone, Anglia i Francja zawierały „pakt atlantycki” a „pomoc” marszałkowska zalewała Europę. Trudno byłoby, zaprawdę, zaprzeczyć nawet tak wykwalifikowanym kłamcom jak Churchill, Bevin, Acheson — że cała polityka bloku „atlantyckiego” — nie dokonuje się kosztem robotników. Niechaj zaprzeczają, że realizują „plan Marshalla” — nie obniżają równocześnie płac robotniczych? Kłamstwo polityków „atlantyckich” nie może się ostać wobec realnych faktów.

M. N.

### Robotnicy wsi

Niesłychanie cennym materiałem, poprzez który można śledzić dokonujące się przemiany na wsi, są relacje samych chłopów.

Pisma takie jak „Gazeta Rolnicza”, „Chłopi”, „Chłopska Droga”, „Rolnik Polski” czy „Gromada” zawierają obfitą ilość listów i korespondencji z terenu. W korespondencjach tych, zwłaszcza w miesiącach ostatnich, coraz żywiej występowała jedna sprawa — że odkrywa się nowa przyjaźń, zadzierzga silna więź między wsią a robotnikami, właśnie na co dzień, właśnie w praktycznej a społecznie zorganizowanej pomocy. Rada Zakładowa fabryki traktorów Ursus, która w roku ubiegłym rzuciła hasło pomocy technicznej dla ośrodków maszynowych, dała dobry przykład. Od chłopów z wszystkich zakątków kraju dowiadujemy się, że gościli u siebie robotników takich a takich zakładów, że ci naprawiali im traktory, młockarnie, siewniki. Dzisiaj kontakty te zacieśniają się coraz bardziej, rozszerza się pomoc klasy robotniczej dla wsi na odcinek kulturalny. Coraz więcej fabrycznych zespołów świetlicowych odwiedza teren wiejski, coraz częściej właśnie z chłopskich listów dowiadujemy się, że świetlice fabryczne pomagają do założenia chłopom własnych świetlic, że ofiarowują im radioodbiorniki, komplety biblioteczne. Temu, co robi się odłownie z inicjatywą poszczególnych zakładów, dała ostatnio wyraz Komisja Centralna Związków Zawodowych, ofiarowując w imieniu 3 i 1/2 miliona zrzeszonych robotników Związku Samopomocy Chłopskiej na pracę kulturalno-oświatową na wsi 100 milionów złotych. Z tej pomocy wyrosną świetlice, biblioteki, wyrosnie jednak i mocna świadomość w małym i średniorolnym chłopie, że przy braterskiej pomocy robotnika prędzej osiągnie poziom życiowy, godny człowieka.

K. J.

### Spadkobiercy gen. Franco

Nie dziwi nikogo mniej lub więcej szczerze wypowiedzi czołowych polityków państw anglosaskich, odsłaniające agresywny charakter paktu atlantyckiego. Wiadomo kto stoi poza paktem i przeciw komu jest on skierowany. Ostatnio madyrka rozgłosu radia frankistowskiego nadała taki komentarz polityczny poświęcony paktowi atlantyckiemu:



„Pakt ten jest po prostu zrealizowaniem projektu hiszpańskiego, sformułowanego pięć lat temu.”

„Hiszpania ma więc prawo oskarżać twórców paktu o przywłaszczenie sobie jej własności intelektualnej.”

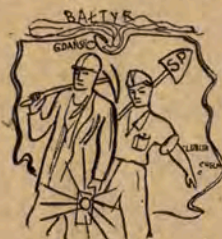
Pięć lat temu: wiec rok 1941! Brawo spadkobiercy „własności intelektualnej” generała Franco! Nie dziwny jest hiszpańskiemu faszystcie, który w przeddzień rozgromienia armii hitlerowskich usiłował w jakikolwiek sposób przedłużyć konanie Niemiec. Hasło „Deutschland erwache” znaczyło też i spokojny żywot faszystowskiej Hiszpanii. Ale też niosło śmierć i cierpienia w tysiącach obozów koncentracyjnych milionom ludzi wszystkich narodów świata.

Na nie zda się przemalowywanie starych szyldów. Narody świata chcą pokoju i o pokój będą walczyć. Zaś pan Franco — do czasu — niech prowadzi swój spór o prawo autorskie do paktu z równie jak on nieszczęśliwymi spadkobiercami... Hitlera. k. m.

### „Niewyczerpane zasoby uzdolnień”

„W naszej młodzieży, która wykuwać będzie przyszłość Polski — mówił Prezydent Bierut — tkwią niewyczerpane zasoby uzdolnień, o-

fierności i zapału do twórczej pracy”. W ciągu minionego roku wymieniała młodzież S. P. swoje uzdolnienia i ofiarności na konkretną pracę. Młodzi brygadziści w liczbie 15.000 pracowali łącznie przez 625.549 junakodniówek i wywieźli 140.000 m sześciennych gruzu w Warszawie. Na Śląsku postawili SP-owcy 430 domów dla górników-repatriantów i „Dom Śląski” w Gliwicach. 42 km normalnotorowych kolei, 166 km torów roboczych, 1.100 km



rowów melioracyjnych, osuszenie 19.000 ha żyznej ziemi żuławskiej i przyodrzańskiej — to wszystko zapisała na swoje konto Służba Polsce w ubiegłym roku.

Wpisała ponadto: 1.139 wyremontowanych lub nowopostawionych świetlic, 151 domów ludowych, 57 zelektryfikowanych lub radiofonizowanych wsi, 240 km wyremontowanych dróg, 370 boisk sportowych. Ale co nie mniej ważne, Służba Polsce dostarczyła tysiące nowych, młodych przodowników pracy, 5.000 traktorzystów, kilkanaście tysięcy kierowców samochodowych, kierowników świetlic, bibliotekarzy. Są to ci, na których barkach w stopniu coraz większym spoczywać będzie przyszłość ludowego państwa i pracującego w nim człowieka. Wydaje się, że obok robotniczych przodowników pracy, „mistrzów oka i ręki”, można postawić niemałą część młodzieży, jako bezpośrednie zaplecze.

J. W.

### Daremnne żale

„Dziennik Związkowy”, pismo Kongresu Polonii w U. S. A. (wódcz — p. Rozmarek, konkurencyjna organizacja i drugi wódcz — „Rada Polonii Amerykańskiej” i p. Świątek. Obie te organizacje — jedna podszyta sancią, druga narodowcami toczą ze sobą zaciętką walkę o „rząd dusz” nad Polakami w Ameryce przy pomocy pp. Mikołajczyków, Bieleckich, Komorowskich itp.) — żali się w numerze z dnia 24 lutego, że Polonia Amerykańska nie wykazuje żadnego zrozumienia dla akcji sprowadzania b. żołnierzy polskich z Niemiec do U.S.A. „Winni są ci, którzy dotychczas ani jednej deklaracji nie podpisali”, aby sprowadzić wysiedleńców. Dlaczego tak się dzieje? „Dziennik Związkowy” tłumaczy to tym, że „komuniści rozwijają energiczną kampanię, by nie dopuścić do przybycia tu polskich wysiedleńców z Niemiec, ale chcą natomiast, by skierować ich do Polski...”

Wynikałoby z tego, że olbrzymia większość Polaków, która nie chce sprowadzić wysiedleńców, jest komunistami. Taki wniosek nasuwa się po przeczytaniu „Dziennika Związkowego”. Oczywiście jest to wniosek niesłuszny. Fakt ten dowodzi czego innego. Dowodzi przede wszystkim bankructwa panów Rozmarek i Świąteków, którzy z nienawiści do Polski Ludowej rozwijają działalność zagradzającą drogę powrotu do ojczyzny wielu Polakom.

Jednak prawdziwi Polacy już dawno są w Polsce i pracują nad odbudową Ojczyzny. Za granicą pozostali tylko niedobitki faszystowskie, ukraińscy banderowcy lub litewscy szaulisi. Mają rację Polacy amerykańscy — robotnicy rolni i przemysłowi — że nie chcą przyjmować tego rodzaju „wysiedleńców”. Zatem, niechże się zastanowią ci spośród żołnierzy-tulaczy, którzy jeszcze do dziś się wahają — w jakim towarzystwie wypadła im obecnie przebywać.

J. J.

### Wezwanie

Do Przyjaciół w Argentynie!

Od października jestem w Polsce. Zamiast przyjechać w r. 1946 bezpośrednio z Anglii, jako repatriant, dałem się oszukać propagandzie andersowskiej i pozostałem na obczyźnie. Losy zagnały mnie do Argentyny. Tam — wiecie, jak było. Represje i głód. I brak pieniędzy. Tesknota za krajem. Chcąc wrócić do Polski — musiałem przyjąć na jednym ze statków handlowych, kursujących między Argentyną a Europą pracę związaną z obsługą wołów, transportowanych do Europy. Ale nie żałuję tych trudów i podróży. Jestem w Polsce. Po latach wojny i długiej rozłąki znowu odnalazłem Ojczyznę. Dotychczas nie miałem ojczyzny. Nie była nią Argentyna, nie był nią korpus Andersa. Dopiero teraz znalazłem swój błąd tułaczki. Dopiero teraz znalazłem swoją Polskę. Inną od tej, jaką ukazywali oficerowie Andersa i argentyńscy działacze

polityczni. Polskę sprawiedliwej społecznej, reformy rolnej, przemysłowej, szkolnej. Polskę, która zapewni każdemu obywatelowi naukę i pracę.

I ja, reemigrant mam zapewnioną możliwość nauki. Uczę się i pracuję. Kończę swoje studia.

Szczęśliwszy od Was, Przyjaciele, którzyście pozostali w dalekiej Argentynie, zasyłam Wam tą drogą pozdrowienia — i wzywam Was: niech was nie przestraszą żadne trudy, które stoją i staną Wam na drodze powrotu do nowej Polski.

Jerzy Kowalewski

Informujemy, że Ob. Jerzy Kowalewski natychmiast po powrocie do kraju zgłosił się do pracy i pełni obecnie funkcje referenta socjalnego w przemyśle.

Red.

### Wywiad amerykański działa

Wychodzące w USA pismo polskie „Głos Ludowy” donosi w numerze z dnia 5 marca: „Komisja Sł Zbrojnych Kongresu przystąpiła publicznie, że Stany Zjednoczone stały się ostatnio schronieniem dla szpicli i najgorszych odpadków społecznych różnych narodowości.

W uchwalonej przez komisję ustawie o stworzeniu amerykańskiej sieci szpiegowskiej w całym świecie przewiduje się, że od 100 do 150 zdrajców, którzy za pieniądze będą wysługiwać się amerykańskiemu wywiadowi wojskowemu lub politycznemu, zostaną dopuszczonych każdego roku do Stanów Zjednoczonych, nie podlegając ograniczeniom imigracyjnym. W dodatku będą oni mogli zostać obywatelami amerykańskimi...”

W obliczu takiej decyzji komisji kongresowej, czy można się dziwić, że herszt nazistów amerykańskich Fritz Kuhn, wyraził pragnienie powrotu do Ameryki po zwolnieniu go przez sąd niemiecki?

Kuhnowi ogromnie się podoba obecna atmosfera polityczna w Ameryce...”



Informacja nie wymaga komentarza. Intelktualistom krajów zachodnio-europejskich rząd Stanów Zjednoczonych odmówił wiz wjazdowych na amerykański kongres w obronie pokoju. Pod naciskiem Stanów Zjednoczonych Francja ograniczyła ilość wiz wjazdowych delegatom licznych krajów demokratycznych na paryski kongres w obronie pokoju, tenże sam rząd francuski pod naciskiem tegoż samego rządu Stanów Zjednoczonych zamierzał zainstalować w pokojach hotelowych, zajmowanych przez delegatów na paryski kongres pokoju, aparaty podsłuchowe i otoczyć ich ścianą szpiegowską — ale rzeczywistych zdrajców narodowych i szpiegów międzynarodowych przyjmuje się w Stanach Zjednoczonych z otwartymi ramionami. Przy tym zaś oskarża się Węgry i Bułgarię o pogwałcenie układu pokojowego, dlatego tylko, że ukarały zdrajców narodowych i wrogów demokracji ludowej.

Takie są demokratyczne i pokojowe metody Stanów Zjednoczonych.

ss.

### O programach filmowych

„Jeszcze jedna dobra komedia muzyczna... Film jest opowieścią o perypetiach dwóch siostr, z których jedna jest szansonistką w prywatnym gabinecie, druga zaś to uosobienie cnoty i skromności... (!) Film po szeregu powikłań i nieoczekiwanych sytuacji kończy się happy endem... Dobrze spreparowany scenariusz... Obfitość arcykomicznych scen... Fragmenty muzyczne... sprawiają, że film obok swej lekkiej komediowej treści daje też przeżycia wysoce artystyczne... jeszcze jedna pozycja wysokiej klasy filmowej komedii...”

Oto recenzja jednej z komedii amerykańskich zamieszczona w programie filmowym. Tysiące takich programów sprzedaje się we wszystkich kinach całej Polski. Nie wiem, kto redaguje te programy. Ostatnio „Odrodzenie” podniosło sprawę programów filmowych, wykazując na przykładzie recenzji z włoskiego filmu „Rzym miasto otwarte” (przy okazji: warto ten film rozprowadzić jak najszybciej!), jakich fałszów i zniekształceń dopuścił się recenzent, któremu redakcja programów powierzyła omówienie tego filmu. A jaką korzyść odniesie czytelnik i widz z recenzji, którą przytoczyłem na wstępie?

Co na to Wydział Propagandy Filmu Polskiego, którego etykieta (F. P.) widnieje na programach? Czy brak jest wybitnych pisarzy i krytyków, których można by wciągnąć do współpracy w redakcji programów filmowych? Czy konieczne każdy film, nawet najgłupsza komedia amerykańska musi być tak ustawiona, aby zaciemnić czytelnikowi widzenie filmu na tle dzisiejszych przemian społecznych i ustrojowych? Czy nie można by przy okazji zadać paru pytań widzowi kinowemu, które pobudziłyby go do myślenia i próby krytyki filmu. Wydaje się, że zwłaszcza wobec filmów zagranicznych, a amerykańskich w szczególności, które celowo zakrywają przed oczyma widza wszelkie konflikty klasowe i problematykę społeczną, taka czujność ze strony naszej krytyki filmowej byłaby wskazana.

Sądząc, że rzeczowa ocena filmu i jego problematyki nie przeszkadzałaby bynajmniej wprowadzeniu do recenzji... ze względów kasowych... lekkiego anonsu o „przeżyciach wysoce artystycznych”.

t. p.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2. D-036135